

17087

B. P. im. L.

2

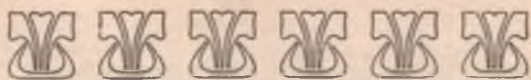
#19087.



Jednodniówka

poświęcona ceniom

Marji Konopnickiej.



LUBLIN. — 1 II ROK

DRUK R. JACZEWSKIEJ.



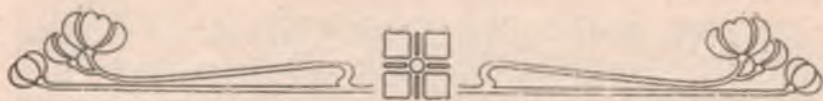
Handwritten marks or numbers in the top right corner, possibly "121" or similar.



Jednostnik

Faint text line in the middle of the page, possibly a title or subtitle.



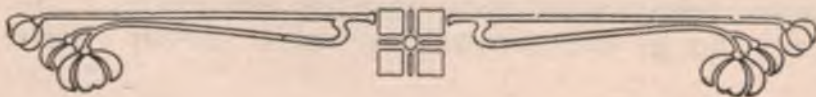


Orędowniczką byłaś słabych i uciskanych...

*Nieustraszoną dłonią sięgałaś po niebios ogień
żywy, aby nieśmiertelne promienie wcielić w płon
złotokłosa dla łaknących..*

Szafarko słońca, część Twojej pamięci!

*Oto z imieniem Twoim na ustach żarliwych
idziemy budzić senne rzesze wołaniem o światło!*





NIEŚMIERTELNIKI...

Wspomnienia ludzi, którym danem było stykać się z wielkimi twórcami, mają o tyle rację bytu, że rzucają na osoby tych „wielkich“ światło, uwypuklające — rzec można — osobistość ich ziemską. Wogóle bowiem, twórca stoi poza dziełem swoim niematerialnie i niecielesnie, dzieło przysłania go sobą. Im dzieło potężniejsze, tem ludzka istota twórcy staje się niedostępniejszą — a z biegiem czasu — dalszą. Wspomnienia zaś postronnych ściągają go wprawdzie z wyżyn na ziemię — ale umożliwiają jednocześnie pewien dostęp do niego i ułatwiają tym, którzy dzieło wielbią, tak konieczne ukochanie człowieka.

O ile zaś przechowywane są w sercu pełnem miłości i czci, wspomnienia takie, stają się relikwiami.

Relikwią są mi osobiste wspomnienia moje o Konopnickiej.

Znałam Ją krótko i dawno — rok był 1888 gdy jako dorastająca dziewczynka miałam szczęście słuchać wykładu Jej o literaturze polskiej. Mieszkała wtedy w Warszawie, w znanym parku Frascati. Był to czas, gdy pierwsze trzy serje Jej poezji ukazały się już w druku i były na wszystkich ustach. Już muzykom melodia sama płynęła do słów Jej piosenek. Już „obrazki“ drgającym, bolesnem światłem, oświeciły tyle obrazów nędzy. Już jej wielkie pytania poruszyły umysły i serca.

Już Sienkiewicz, zachwycony sądem Jej o „Panu Wołodzyjowskim“, pobiegnął był złożyć Jej osobistą podziękę.

To też serce biło mi jak młotem, gdym z matką moją kroczyła przez długą, ciemną aleję parku, wiodącą do mieszkania wielkiej pieśniarki. Jesień była późna, godzina popołudniowa, mrok rozpostarł się już zupełnie, a w mojej głowie jedna tylko tkwiła myśl: „za chwilę oto ujrzę Konopnicką“... Wyobrażałam Ją zaś sobie, jako niewiastę olbrzymiego wzrostu, z siwą głową, surową — niemal groźną.

Do saloniku, do którego nas wprowadzono, weszła po chwili kobieta drobna, o słodkim, uprzejmym wyrazie twarzy, zarumieniona lekko, tchnąca młodością i wdziękiem.

— Chciałabym mówić z panią Konopnicką — rzekła moja matka.

— Służę pani.

Matka moja zawahała się.

— Chciałabym, jeśli można, mówić z matką pani — dodała, sądząc, że ma przed sobą jedną z córek poetki — z panią Marją Konopnicką.

Wesoły śmiech nie pozwolił matce mej dokończyć.

— Ja jestem Marją Konopnicką!

Nie umiem wyrazić czaru prostoty i ujmującego wdzięku, z jakim wypowiedziane było to wielkie nazwisko.

Chwilę potem stałam przed Konopnicką i zdławionym ze wzruszenia głosem recytowałam jakiś swój własny „utwór“ wierszowany, który matka moja chciała poddać pod Jej sąd. I wtedy to dojrzałam poraz pierwszy ową raptowną w twarzy poetki zmianę, którą potem zauważyć mogłam niejednokrotnie. Był to wyraz przeistaczający zupełnie to pogodne, prostoty pełne oblicze. Oczy jej nabrały przenikliwości tak wielkiej, że stały się prawie ostre. Słuchała uważnie poczem rzekła:

— „Owszem, jest muzykalna forma i dużo uczucia.

Czy to zdolności poetyckie—nie wiem“.

Ach, gdyby te słowa usłyszane być mogły przez różnych młodych *wieszczów*, gdyby zrozumieć chcieli, że łatwość wierszowania, a nawet uczucie—tak mało wyrokować mogą jeszcze o zdolnościach poetyckich!

Rozpoczął się dla mnie wtedy szereg miesięcy, w czasie których żyłam tylko myślą o tych *lekcjach moich* z Konopnicką. Dwa razy na tydzień biegłam do Frascati, wynosząc z sobą zawsze wrażenia, któremi aż do następnej lekcji żyłam—które do dziś dnia są żywe we mnie.

Dziwne-i bo to były lekcje! Odbywały się one w pokoju, którego okna wychodziły na mniej zacieniony obszar parku. Konopnicka siedziała odwrócona od okna. Skośne promienie bladego zimowego słońca oświecały jej postać drobną i kładły na Jej głowę blaski. Przed Nią, na stole bielila się ćwiartka papieru zapisana gęsto, (była to przygotowana dla mnie do opracowania notatka z wykładu)—kartki książki, z której czytała odpowiednie wyjątki i Jej ręce. O ile nie byłam zapatrzona w twarz Konopnickiej, wzrok mój przykuwały te ręce małe, wytworne, białe bardzo i delikatne.

Mówiła głosem niesłychanie dźwięcznym, rzecz-by można najwyborniejszą dykcją, gdyby melodyjność i płynność jej wymowy dały się określić, jako zewnętrzny przymiot. Taką była forma—a treść? Mówiła do mnie o XVI-ym, XVII-ym i XVIII-ym w. literatury polskiej—mówiła z tem ukochaniem przedmiotu, który odnajduję w każdym Jej szkicu literackim. Jeśli osoba pisarza, lub dzieło jego porywały Ją więcej, wyrazy układały się w zwroty przepyszne, bogate, żywe były i drgające, jak wszystko, co z duszy jej wyszło. Jej charakterystyki epoki stanisławowskiej, Jej poglądy na upadającą Polskę, Jej ukazania mi przedświt romentyzmu—a szczególnie chwil, w których mówiła o poezji wogóle—nie zapomnę nigdy. Uniesiona przedmiotem mówiła—jakby w dal. W zapadającym szybko zmierzchu widziałam Jej twarz,

która stawiała się surową i obcą — zapatrzone oczy nabierały szklistości — od całej postaci wiała nieprzystępność i majestat, jakby jakaś niewidzialna ręka rzucała Jej na ramiona królewską purpurę. Tak wkraczała we własną dziedzinę, we własne państwo, o którym z umiłowaniem wielkiem — *nie do mnie* — mówiła, a moje rozegzaltowane oczy dziecka dopatrywały się w mdłym blasku gasnącego słońca — nieziemskiej światłości nad Jej głową.

Konopnicka uczyniła mi kiedyś łagodną wymówkę, że po skończonej lekcji, nie jestem w stanie odpowiedzieć Jej na żadne pytanie dotyczące wykładu. „Czy nie uważasz?” — Wybuchnęłam płaczem i rzuciłam się Jej do rąk... Pewno zrozumiała, bo rozśmiała się tym dzwiecznym, niskim, młodym śmiechem, w którym brzmiały dobroć i zadowolenie.

Po wielu, wielu latach — ujrzałam Ją znowu. Mnie — życie złamało i przygniotło do ziemi — w postaci uwielbianej Mistrzyni mojej mała zaszła zmiana — choć tkwił już w Jej piersi zaród choroby, która nam Ją wydrzeć miała. Ta sama ujmująca prostota, ten sam dzwieczny pogodny śmiech — jak niegdyś, przy pierwszym mem z Nią zetknięciu. Ta sama niespożyta młodość genjuszu, te same w chwilach przejęcia się rozmową, zapatrzone w dal oczy, i ten sam nagły, od wewnątrz promieniejący majestat.

Jako najskromniejszy — lecz w głębi serca przechowany kwiat — składałam te wspomnienia na grobie Tej, w której słowa wczytuję się z równie silną miłością i czcią, z jaką słuchałam ich ongi. Może danem mi będzie przykleknąć przed tą trumną, tam, gdzie tym prochom spoczywać przystoi — w grobach zasłużonych — na Skalce.

Bowiem drugiego już pokolenia Mistrzynią jesteś, o Pieśniarko Wielka — i drugie już pokolenie uczysz kochać — i wierzyć! A gdy wsłuchana w dźwięki Twej złotej harfy „druidzkiej harfy, co ma jęk echowy”, rozumiem i odczuwam pieśń, w której „zakłęś błyski piorunowe, co z wielkich godzin biją w serca ludu” — *widzę Cię* —

jak „pieśń śpiewając—czekałaś tu cudu”—i z dawnem
dziecięcem uwielbieniem gotowam zgiąć przed Tobą ko-
lana, wierząc, że nad Twem czołem świeci nieśmiertelna
aureola miłości i piękna...

Anna Leo-Rose.

Styczeń 1911 r.



Cieniom
Marji Konopnickiej.

I.

Rozebrzmiał dzwon na praojcowym tumie.
Serce w nim żywe rwie się i kolebie,
A taka moc w spiżowym owym szumie.
Że kłosa rzędem kładzie w pas na glebie,
A liście z drzew potężne jego tchnienie
Jak wicher żenie.

Łkaj, pieśni, łkaj... z ponad tej czarnej ziemi,
Strojnej w dojrzałych łąnów ornat złoty,
Z ponad tych łąk, nićmi tęczowemi
Tkane są, płyniesz jaskółczemi loty,
I tęskna, chat obiegłszy w krąg poszycie,
Toniesz w błękicie.

Łkaj jeszcze, łkaj.. z tej praojcowej chaty
Tęsknica idzie zaklęta przez ciebie...
Idzie przez łan za tobą hen w zaświaty
I żdźbła, uszczknięte na rodzimej glebie,
Gorących ust całunkiem wypromienia
W kwiaty marzenia.



II.

Gdzie jest ten śpiż, Piastowej dzwon strażnicy,
Co budził śpiące u swych czat rycerze?
I wołał: „Czas już, wstawać czas, wiernicy,
Oto za bary dzień się z nocą bierze,
Już złotem strzał świt kiru zdziera puchy,
Czuwajcie duchy!“

Gdzie jest ten głos, harfa i grom pospołu,
Co wszystkie ziemi krzywdy niósł w swym łonie,
Co łzy i ból zebrane z nędz padołu,
Jak pereł sznury kładł w anielskie dłonie,
A ludu krwi niósł purpurowe morze
Przed trony Boże?

Gdzie jest ten dzwon?... Nim blysły złote zorze,
Rozkolebane pękło serce w dzwonie..
Zamilknieź pieśń?.. Czuwajcie duchy!... może
W godzinę cudu jutrzni blask zapłonie,
Ocknie się moc zbudzonych z snu rycerzy
I w chór uderzy.

F. Arnsztajnowa.





NAJSMUTNIEJSZY ANIOŁ.

==== (Legenda). =====

Napisał B. Wi.

Gdy się rok stary żegna z ziemią, patrzą na niego Anioły niebieskie.

Wiedzą one dobrze, iż wraca on z ziemi w Krainę wieczności z Kartą spisanych swych czynów.

Czasem Karta ta jasna i piękna, zda się kwitnie bławatami i liliami — czasem ponura i szpetna, bo znać na niej ślady łez i krwi, ślady gwałtu i brutalnej siły.

Bywa zaś tak, iż gdy ma na Sobie znaki szczęścia, rozrzuconego wśród ludzi — nie jednakowo znaki te są pisane. Dla jednych miał rok więcej szczęścia, dla drugich — mniej...

A gdy wraca w wieczności fale, idą Anioły i pytają:

— Roku Stary! Cóżes dał ziemi?

— Dałem tam na południu dostatek, ciszę, spokój... Więc Anioł Krainy szczęśliwej uśmiecha się, dotyka skrzydłem Starca i mówi:

— Byłeś dobry dla mego narodu i Ziemi... Dziękuję Ci — złotem piórem zapiszę twe imię.

— Dałem ludowi z nad morza powietrze najmiłsze i najzdrowsze, zbiory najobfitsze; żadną klęską go nie dotknąłem — mówi Rok Stary, a wtedy Anioł tego ludu woła z podziękowaniem:

— Jakże dobry byłeś, Roku mój — Kocham Cię szczerze.

Dalem pracy dość ludowi w innej Krainie, nikt się nie żalił, że głodny — nikomu krzywdy cierń nie skaleczył serca...

A więc Anioł tego ludu składa dziękczynne ręce i mówi z uśmiechem:

— Jakimże ty ojcem byłeś dla mojej ziemi? Jakże Cię tam będą wspominali?..

I tak po kolei Anioł każdego ludu i każdej ziemi wita wracającego starca z ziemi, a każdy prawie uśmiecha się słysząc, co Rok stary opowiada...

Lecz jeden Anioł stoi blady i cichy.

Nie zbliża się i nie pyta...

Spojrzał Rok Stary w jego oczy łzami zalane i pochyliwszy się nisko szepce:

— Płaczesz, o biedny Aniele ludu najnieszczęśliwszego na ziemi! — Czyżem winien, iż się tak stało?.. Nie ja to wyciskałem łzy niewinnie gnębionym, nie ja to zacieśniałem więzy niewoli... nie ja gasiłem im światła... nie ja wydierałem ziemię... nie ja...

A Anioł stoi blady i cichy...

Skrzydła jego opuszczone nisko — dłonie jego sp'ecione w niemym bólu, na piersi jego cierni gałązka...

Więc rzeknie Anioł ludu dalekiego z nad morza:

— Czyż nie przyjdzie ku nam z tej ziemi wracający rok taki, który przyniesie wieść weselszą? Czyż zawsze tylko stamtąd ból i cierpienie?

— Nie jam winien, powtarza Rok Stary, srodze zasępiony... Już dawno to było, gdy poprzednicy moi wracali z tej ziemi pięknej z oznakami sławy i chwały przejasnej.

...I tyle tych krzywd zniesionych tam, w czasów fali, iż góra z nich urosła wielka.. i tyle tam ofiar już składa się na szalę sprawiedliwości, iż zda się przeważą — a przecież oto niosę na karcie tej znak bijący nową krzywdą... znak, którego nic nie zatrze i nic nie zmaże.

Spojrzały Anioły na kartę trzymaną w rękach starca, a na niej widniał wielki napis:

— Nowa Września! Wywłaszczenie z ziemi!

— Nowa Września? Wywłaszczenie? wyszeptaly Anioły wszystkich ziem i ludów i smutek oblał ich czoła.

A jeden Anioł złożył ręce, jak do modłów, mówiąc ze wstydem i bólem.

— Mój lud to czynił..

I szept żalostnej skargi płynął w około:

— Jego lud to czyni...

A Anioł ów płakał mówiąc:

— Mój lud wydziera mowę dzieciom polskim.

I szept żalostnej skargi płynął w około:

— Jego lud to czyni...

A Anioł znów żalił się smętnie:

— Mój lud gotów bez chwili zastanowienia wytępić naród podbity za to, że chce we własnym języku modlić się do Boga, że milsza mu pieśń. pamiątka, obyczaj rodzinny, niż obca mowa i obcy katechizm.

Państwo, co obmyśla w imię litości schroniska dla niemych stworzeń, a nawet lecznice dla zwierząt, bez wstydu woła równocześnie: „Zagłada polskiemu żywiołowi“! „Odebrać Polakom ziemię! Niech giną z głodu i w nędzy“!

-- Żaliż zmyje tę plamę nienawiści, niesprawiedliwości i gwałtu z kart swej historii?

A szept innych Aniołów odpowiadał:

— Czyli zmyje tę krzywdę?..

I rok stary stał, jak skazaniec potępiony, a barki jego ugięły się tak pod ciężarem tych skarg, jakby go przygnieść miały...

A cichy — milczący Anioł płakał łez rzęsiстых strugą i mówił:

— I tyle lat przeszło — a zawsze to samo niosą mi z ziemi Ojczyzny mej drogiej!.. Przemoc chce zabić naród, a naród żyje.. przemoc chce ducha zgniebić, a duch się wzmacnia, przemoc chce wydrzeć mowę i wiarę z serca milionów, a miliony bronią się i skarbów nie dają...

Lecz — ja nie płaczę nad ludem mej ziemi, ale się smucę łzami męczonych dzieci i troską ojców rodziny, pozbawionych dachu i z gleby swojskiej wygnanych.

— Biedny Aniele!.. Szeptają w około duchy jasne.

— Smutny Aniele!.. mówią duchy otaczające Anioła Polski..

A on wskazując na kartę roku starego, gdzie czerni się jak plama wielka słowo: „Nowa Września“, „Wyluszczenie“, „Zagłada“ mówi:

— Tu — nadzieja lepszej doli!.. Nie zginie naród, który umie bronić najdroższych skarbów! Nie zginie lud, który wierzy w Chrystusa, z krzyża czerpie siłę i moc niezwyciężoną, a cierpiąc ufa w sprawiedliwość Bożą... Lecz biada, o! biada... tym którzy tyle łez wycisną i tyle krzywd z sobą poniosą,

Więc Anioł ludu z nad morza stał jak skamieniały... Oblicza jego nikt nie widział, bo zakrył je skrzydłem...

I gdy Rok Stary staczał się w wieczności fale, nie Polski Anioł był najsmutniejszy, choć zabrał z sobą smutnemi słowy zapisaną kartę, ale ten był najsmutniejszy, który krył oblicze skrzydłem, a szeptał cicho:

— Sprawiedliwości Szala — kiedyż to odważy!..

I gdy Rok Stary zanikał już w wieczności falach, a ku dziecinie Nowego Roku zwróciły się oczy Aniołów, pytających, co niesie ludowi na ziemi, jeden Anioł nie pytał, ani się nie zbliżał... Stał jak posąg martwy z zakrytem obliczem...

A nad nim niby echem gnana kędyś z oddali dzwoniły skargi dzieci polskich, które powtarzały:

— *Nie będziemy Niemcami! Zostaniemy Polakami!*

A w koło niego spadały jak rosa rzęsiste łzy matek biednych, które mówiły:

— *I życie damy w ofierze, a dzieci naszych zniemczyć nie zezwolimy...*

I szła za nim długa procesja wydziedziczonych i wyrugowanych z gleby ojczystej, smutnych — ale mężnych i nieugiętych, którzy wołali potężnym głosem:

*Silą i gwałtem wydzierasz nam, Krzyżaku, ukochaną
ziemię, ale od duszy polskiej ci wara.*

* * * * *

I szły Anioły dalej za śladem Nowego Roku, a jeden Anioł
stał w bólu jakby skamieniały...

Ten był najsmutniejszy...

* * * * *

Biedny Anioł ludu krzywdzącego...

~ ~ ~ ~ ~

KONRAD ZALESKI.

Dwie łzy.

Na me książki cień się kładzie.
Już wieczorne gasną zorze,
Szyba okryty się brylantami
szumienionych śnieżnych palm...
W duszy mojej otchłan smutku,
beznadziejnych pragnień morze,
Łza się ciśnie do mych powiek,
usta szepczą bólu psalm.

Ach, bo krwawa nasza dola,
Dzień irae—dzień żałoby,
Fakty o tej drogiej ziemi
już zapomniał ojców Bóg.
Wciąż Miobowe wieści płyną,
otwierają się wciąż groby,
W każdym miejscu, w każdym czasie,
mściwy na cię czyha wróg.

Siedzę w myślach pogrążony —
 nie ten, nie ten co przed laty,
 Gdy mi ducha krzepił błogi,
 pełen barw tęczyowych sen...
 W drzwiach błysnęło naraz światło
 i ze światłem do komnaty
 Wbiegł chłopczyna modrooki —
 Skroni mu sđobi włos jak len.

Podniósł na mnie swe oczęta,
 uśmiech igra w jego licach
 Na kolana się gramoli,
 mój śnieżysty gładzi włos:
 — Dziadziu, dziadziu, szepcze sęicha,
 Czytaj mi o Ractawicach,
 Jak to Bartosz na armaty
 Biegł przy dźwięku chłopskich kos.

I rozkłada swą książeczkę.
 — Czytaj drogi, czytaj proszę,
 Lecz by kto cię nie podsłuchał,
 trzeba naprzód zamknąć drzwi.
 Zamknął, wraca. Ja powieki
 tą nowo moję rozszę,
 Lzę radości, gdy nadzieja
 Znow jak ongi w sercu tkwi.



* * *

Są trzy gatunki ludzi: pełzający, chodzący i latający;
 pierwszy nigdy nie nauczy się chodzić, drugi czasami wla-
 tywać lubi, a trzeci zwykle kark kręci.

M. Ol.



NA KLASYCZNEJ WŁOSKIEJ ZIEMI...

Gdy, pędzona losów wichrem, znalazła się Marja Konopnicka w 1890 r. w krainie „wiecznego piękna“, gdzie uroczy Rafael i potężny Michał-Anioł nieśmiertelnemi zabłądli dziełami, serce jej żywiej bić poczęło. Dotychczas, otoczona warunkami twardej rzeczywistości, czuła się w swej twórczości skrępowaną.

Wygrywała dotąd na lutni swej czule a rzewne pieśni, tchnące najżywszą miłością do tych zaś, które „chłodne padają“, do „wioski w dolinie, od zbóż wesolej, a od jodeł smutnej“, do słonka, co „ze snu budzi kwiaty i dzieci, i „rzuca złote“.... „iskierki między zieloną trzcina“, do „nocy cichej, nocy majowej, korony Boga bladej“, — wypowiadała, dalej, swe pełne łez i żalości skargi nad czworgiem bosych chłopskich dzieci, co „główki na mrozie odkrywszy z pokorą, stanęły zbite w gromadkę pod wielmożnym dworem“, z którego nikt nie wyszedł, aby rzec „bracia, Chrystus się narodził“, — nad obarczonym rodziną ojcem, co „chleb czarny wykuwa młotem w piwnicznej izbie, gdzie wilgotne ściany płaczą“ — nad małoletnimi przestępcami, na których grube „są spisane tomy karnej ustawy“, a „nikt nie dba o to, by uczyć dziecię, które jest sierotą“ „bez dachu“, — nad „Wolnym najmitą“, o którym „nikt się nie dowie co robi, jak żyje, nie spyta“ i „choćby garścią rwał włosy na głowie, choćby padł trupem, nikt słówka nie powie“...

To wszystko śpiewała, śpiewała cudnie a rzewnie i te jej żalosne głosy i czule piosenki odbiły się szerokim i głęboko odczutym echem w całym narodzie, w pałacach miejskich

dworach wiejskich, „do strzech“ nawet trafiając—lecz tej lutni jej sielskiej—anielskiej, brak było wielu strun...

Brak było siły i potęgi, brak marmurowych kształtów piękna, co z każdej wizji poetyckiej rzeźbioną grupę posagową tworzą, skrzydłom jej natchnienia brak było orlego lotu, który wznosi pieśniarza na wyżyny potęgi, kędy ramię jego jest, jako piorun, i moc jest—ziemską bryłę ruszyć z posad świata!

I braki te musiała Konopnicka żywo odczuwać, bo już na samym wstępie swym do ojczyzny Danta i Michała-Anioła śle do „wiecznego piękna“ pełną świadomej pokory prośbę: „O wieczne piękno!

Tchnij w nas moc swoją i siłę daj nam wstrząsnąć zawory u złotych swych bram

Aż dla nas pękna...”

Czuje, że jej stopy niosą na sobie jeszcze „pył ziemskich dróg”, więc, dalej, kornie wzywa: „Obmyj nas, ulecz z małości i trwóg!”

Dawniej, czuła się pod „brzemieniem rzeczywistości schyloną i nieśmiałą”, więc teraz wznosi ręce ku „wiecznemu pięknu”. „Z wzniesioną głową iść śmiało nam daj pod twe sklepienia!”... „Daj jasne czoło wysoko nam nieść, a ucisz wichry, co z ziemi chcą zmieść królewskość czynu!”

Królewskość czynu! W pamięci jej stanął okrzyk Krasińskiego: „Wstańcie czyny moje!”—lecz jakim czynem mogła zamifestować swą królewskość ona, czuła pieśniarka, której jedyną bronią jest natchnione słowo?

Jej czynem więc będzie jej pieśń, jej „Dziełem“ będzie, być musi opowieść o tym ludzie, co ma bary „dźwignące pół świata“, co „młotami walić będzie“ w ojczyściej „Kuźni“ „sochę w rozświtach krajać jej zagony, aż jej się pęto u szyi rozluźni, aże z niej buchnie ogień zatajony!”...

Wkrótce, bo już w 1792 r. zacznie pisać „Pana Balcera“.

A tymczasem ulega czarom krainy wiecznego piękna, „gdzie wieńcem bluszcz ruiny dawne stroi, gdzie buja laur i cyprys cicho stoi“. I podziwia ją, „od marmurów swych białą, od wód wielkich siną“, gdzie „Morze, słońce, duchy i ruiny mają swe

nieśmiertelne i królewskie trony"... Swym udręczonym „myślom czyni skrzydła“, otacza się „błękitnym zadumy obłokiem“ i stąpa po tej klasycznej ziemi „oczarowanym, zgubionym w snach, krokiem...“ Podniecona jej wyobraźnia nadaje odniesionym przy kontemplacji zjawisk tej przyrody wrażeniom cechy istnych wizji:

W Nocy włoskiej słyszy „Anioła skrzydeł wianie, słyszy dech jego lecący po błoni, skroś zórz różanych, skroś liljowych toni“, widzi wznoszącą jego gwiazdzistą lirę, która na ziemi roni drżący blask. W Nervi, siedząc w nocy na brzegu morza, widzi wśród srebrnych tumanów w księżycowej dali idącego po morzu Chrystusa, za którego „stopą szlak światła się pali“... Zbliża się, cichy, w białosnieżnych szatach do rybaczych łodzi, „kędy śpią spracowani, i nędzni i mali, niosąc im w przesmutnem licu swym ciche zmiłowanie.“

We wschodzącym na włoskiej ziemi słońcu widzi poetka „rajskiego ptaka, co wzleciał, roztrząsnął swe pióra, zapalił pół niebiosów, zaiskrzył pół morza i pieśń światła wyrzucił w niezmierne przestworza, zagłuszył śpiew księżycy, nocy trubadura“... Ziemia wtedy wydaje się jej Danaą, leżącą w głębiach ros, na złotym wezglowiu, oświetlonym purpurą jutrzennych róż: pośpiesza do niej Dzień—kochanek...

W szerokiej modrej ciszy południa, gdy, jak wzrok objąć zdoła, „Lazur w świetle stopiony zalewa świat cały“, zdaje się poetce, że „dyszy błękitem“, że błękitem opływa dokoła jej myśl i czucie. I tonąca w tym błękicie jej dusza, wśród sennej południowej ciszy, ulega pełnemu marzeń obezwładnieniu na wpół usypia, dopóki ją z tego rozmarzenia nie zbudzą dzwony bijące na Ave wieczorne. I oto uderzają jej oko blaski „mżące, co płoną na piersiach gór“, kiedy to „Rubinowe słońce iskry sypie z piór, kiedy w grających zorzach leci głos w doliny ciche, pełne ros“. Wtedy chór cyprysów „W czarne wiąże struny złotą harfę łuny“ zachodzącego słońca. Czerwień jego „przepada już w fiolety“ i „ze wzgórz lecą irysów bukiety“ po nich „sypią się ametysty, ugasa żar ognisty“, dopóki wreszcie „noc, zstąpiwszy w doliny, nie utka swego pasa w srebrne seledyny...“

Oczarowana kochankiem Ziemi-Danae, pełnym gorących blasków Dniem-Słońcem i tonącą wśród liljowych woni, rozszepitaną tajemniczym wianem skrzydeł anielskich Nocą włoską, korzy się wprost już poetka w uwielbieniu przed włoskiem Morzem. Zatapia się duszą w jego błękitach i szafirach, przysłuchuje jego lirom, srebrnie grającym o cichym słońca zachodzie, zachwyca się nim, gdy z hukiem wichrów wyrzuca się w przestworze. obleczone kirem i przeszywane burz błyskawicami, drży przed jego królewskim gniewem, przed strasznymi wirami, z których dochodzą jej jakieś przepastne jęki. Lecz uwielbia je za to i korzy się przed nim w tym uwielbieniu. Uwielbia je za to, iż skrzydła myśli, któremi płonie jej mózg, mogą lecieć hen, „gdzieś w siną dalekość, nie potracając o brzeg żaden, o tamę“, że może się pograć w nieskończoności, w bezmiarze tego morza, które jest „tak przestrzennie wielkie, tak ogromnie boże“... „Przeto Cię wielbię, przeto pożadam Cię, morze!...

To też dąży poetka do tego morza ciągle. przesiaduje na jego brzegach, wgląda się w jego nieskończoną dal. I wtedy wyśpiewuje na swej lirze istne perły natchnienia i wizji poetycznych. W Nervi w nocnej ciszy widzi Chrystusa, stąpającego po morzu, a w Bagnasco, siadłszy do łódki, szuka rozmowy z morzem, aby bezbrzeżnym błękitem nakryta, w głos się jego wsłuchać i w jego płacz echowy, i odmawia z nim razem „pacierz swój stary Dzieciństwa swego i porannej wiary, Pacierz pół“ ojczystych...

Na Capri znów siadywała w łodzi, spoczywającej u brzegu przy ognisku, na pęku sieci i, tak siedząc nad ciszą modrej toni, oparłszy czoło na rękę, słuchała „co jej prawili rybak drżący, stary“...

W Neapolu lubowała się morzem, w rannych mgłach pograżonym, kiedy to liljowe opary „odbijają od brzegu, unoszą się, płyną, wzdymają siny żagiel nad łodzi łupiną, Korabie duchów pełne, powietrzne galary“... Piła wtedy „świeżość ranka z ametystów czary, zanim ją w bronz przetopią słoneczne pożary“ i puszczała oczy „mglistą bezbrzeżną równiną“, kędy „drżą srebrne struny morza ruszonej cytary“... W południowych bla-

skach lubiła patrzeć na mewy, co „leca w słońce, jak obłok złotem malowany“ i „Wiankiem się róż białych na powietrzu kładą, giną, gasną, uchodzą w tęczę jakąś bladą“...

Ponętą jest poetce i ta straszna chwila przed burzą morską, kiedy „barwy i światła znikły, wygasły do końca“, a „U brzegu rozerwana piany brudnej szmata. Wicher nadciąga zdala i mrokiem pomiata“. kiedy nadchodzi „Ciemność głęboka, dzika, pomiészana, drżąca, Chaos bezduszny,—otchłań morza lodowata“. A gdy się już burza zjawi w całym swym groźnym majestacie, kiedy rozpękną wód kryształ. „odrugi ich płyną, jak topielce bezwładnie, obojętnie, sino“, — wtedy zda się poetce, że „przedstworzenie się ze dna podniosły odmęty: Niebo, wody i zmierzchy skłębiły się spolem, Morze nie jest już morzem, lecz głuchym żywiołem, Nad przepaściami lata nawałnic Duch Święty...“

A gdy dzień odlatuje i łuna bladego złota dogasa i ginie. poetka, zadumana, staje nad brzegiem morza i patrzy... Oko jej „tonie w świetnym seledynie, W czarownych transparentów gubi się rozświecie“ a „Lazur nieba odbił w morza malachicie“... A hen, w dali, widać „jaskółczym skrzydłem żagla pędzoną łódź małą“, która wśród tego przezrocza przerzyna się, płynie“, a w niej „jasno się sylwetka rybaka odcina, Co stoi w łodzi, prosty i gibki, jak trzcina... „Jaka gra barw! Gdzie twoja paleta, Böcklinie?“

Lecz poetka sama maluje i tworzy. jak Böcklin. W obrazach jej włoskich, w tych wizjach poetycznych, w tych przedziwnych symfonjach barw, kształtów i dźwięków niema już ani śladu dawnej zimnej retoryczności, starającej się napuszoną stylą zastąpić brak szczerej prawdy wrażeń i precyzji wyobraźni, jak to widzimy w pierwszych jej fragmentach „z przeszłości“ i w tylu pieśniach późniejszych; niema ani śladu tego często mdłego sentymentalizmu, wionącego „z łąk i pól“ z jej słowiczego gwiazd ukochania, niema tej mglistej rozlewności widzeń poetyckich, co zacierała ich kontury, pozbawiając je plastycznej wypukłości i subtelnej precyzji kształtów... Niema także już tendencji, która przy całej szlachetności swej, pełnej

gorącego ukochania maluczkich świata tego, krępowała jednak lot jej wyobraźni i zasłaniała szersze widnokręgi, choć bić ka-zała żywo tętnu jej uczucia.

Nie otaczały bowiem teraz Konopnickiej nieszczęsne warunki zewnętrzne, z siłą *Fatum* gniotące Jej ducha. Wolna i nieskrępowana myśl jej tonęła w pełnej tchnień swobody atmosferze włoskiej, upajała się świetlanym, drgającym przezrociami, przezczystym, powietrzem włoskim i, wobec pełnej czarów cudnych przyrody i przepięknych dzieł Sztuki Rafaelów i Cellinich, poczuła w sobie wiew potężnego natchnienia... „Rozbiła się nad nią bania poezji“...

Jej „Sonety Włoskie“, cały ten cykl „Italia“—skąd oto tyle wyżej przytoczyliśmy wyjątków—subtelnością i prawdą odczucia zjawisk natury, precyzyjnością kształtów wzbudzonych przez nie widzeń poetyckich, doskonałością harmonji stanu ducha autorki z malowanymi przez nią obrazami przyrody—stanąć mogą na równi z „Sonetami Krymskimi“ i pejzażami Böcklina, pełnymi głębokiego nastroju i dziwnej precyzji konturów.

Nie mogło być inaczej. Niezmiernie plastyczna in potentia jej wyobraźnia, jej wrażliwy aż do bolesności umysł, jej serce, zdolne tętnić, jak najczulsza harfa, najsubtelniejszymi i najrzowniejszymi tonami, musiały, przy zetknięciu się z słoneczną, tchnącą blaskami i pięknem atmosferą Natury i Sztuki włoskiej, przejść w czynny stan in actu. Gdy, na najwyższy, diapazon natchnienia nastrojona pod wpływem kontemplacji przyrody włoskiej, stanęła przed wielką, cudowną a potężną Sztuką włoską z czasów Odrodzenia, gdy uderzył ją błysk nieśmiertelnego czaru Rafaela i grom potęgi wszechmocnego, jak Stwórcy Świata i głębokiego, jak Nieskończoność Michała Anioła, wtedy dusza jej drgać zaczęła, jak najdelikatniejsza struna, uderzana w cudowne skrzypce ręką Paganiniego i wydobywać z siebie najpiękniejsze i najczystsze tony...

Stojąc w Loggiach Rafaela, śpiewa:

„O moje oczy, zachwycone oczy!
W rafaelicznej zatońcie przezroczy,
I pijcie w ciszy z tej boskiej amfory

Czar wizji sennych i marzeń kolory,
O moje oczy!

A do myśli swej, tej myśli lotnej, co na skrzydłach swych
często ulatywała już w sfery najczystszej poezji, odzywa się da-
lej w upojeniu:

„O myśli moja, o myśli skrzydlata,
Co przelatujesz od świata do świata,
Pióra na mlecznych gościńcach roniąca
Złóż loty swoje! Trafiłaś do słońca.
O myśli moja!“

I cała jej dusza, rozbrzmiana, ubłogosławiona, rozświec-
niona, poczuła w sobie bijące niepowstrzymanym tempem tętno
prawdziwego piękna—i, oto, poetka woła do siebie:

„O moja duszo, o piękna atomie,
Tu w nieśmiertelnym stanęłaś swym domie,
Tu zwiejsz się w tęcze, i w zorze, i w blaski,
Błogosławiona i pełna dziś łaski,
O duszo moja!“

Czyż strofy te nie są godne stanąć obok najpiękniejszych
klejnotów poetyckich świata? Wszak to są najczystsze perły li-
ryzmu, jaśniejące naturalnością i prostotą, pełne prawdy psycho-
logicznej i, tętniąc entuzjastycznym uniesieniem, nie tracą
pomimo to nic z precyzji artystycznej kształtów.

A oto jak poetka transponuje jeden z fresków Rafaela:

„Rajskie ptactwo, deszcze kwiecia, z zórz uwiany strop
niebieski, jakieś dziwy z pozaświecia, Rusałczane arabeski. Przez
arkady słońce wpada. Stapia linje, barwy miesza, Wymarzone
senne światy W opalowych mgłach zawiesza. Blaski sięją się
światliście, Mży w powietrzu opar złoty, Las gdzieś trzęsie z
ognia liście W mórz gdzieś głębi drżą klejnoty... Przetwarły się
raju wrota W jutrzeńkowych róż purpurach A Serafy siedmio-
skrzydłe Na tęczowych wioną piórach“.

Tchnie stąd właściwa Rafaelowi świetlaność barw, nie-
porównany urok poezji, przenoszący nas w jakieś wymarzone

zaświaty, tonące w opalowym półcieniu, po przez który występują jednak wyraźnie delikatne a subtelne kontury—arabeski.

Gdy poetka w Trybunie florenckiej stanęła przed portretem papieża Juljusza II, tego wielkiego wojownika na tronie apostolskim, co biskupów karmił fizycznie a ręką swą za właściwy tylko miecz uważał, a niemniej przeto korzył się przed Wielką Sztuką—on to był, co powołał do życia Stanze Rafaela i Kaplicy Sykstyńskiej nieśmiertelne freski Michała-Anioła—wtedy nasza poetka tak opisuje postać papieża: Cały „w bieli i purpurze, Orle czoło, śniade lice, Rubinowy krzyż na piersiach Ciska wielkie błyskawice. Przenikliwe oko czarne Na powietrznej wisi fali A w sygnecie się rybackim złotą iskrą słońce pali. W fiole-tach i czerwieni...”

Czyż nie jest to precudną, pełnej subtelnej precyzji, kunsztownej zwięzłości i naturalnej prostoty Kameą, godną dłuta Benvenuto Cellini?

Albo, gdy w tejże Trybunie stanęła przed Rafaelowską Madonną del Cardelino i ujrzała Przeczystą Matkę, siedzącą na polnym głazie kwietnej łąki, a obok stojące na ziemi stopkami bosemi Dzieciątka, któremu oto pastuszek Jan przyniósł w darze szczyglika o lśniących się w zachodzie słońca pstrych piórkach, okraszonych złotem, wtedy z wzniesionej nad główką ptaszą rączyny Dzieciątka, jakby jej błogosławiącej, spływa na poetkę jakby promień interpretującego jasnowidzenia: I czyta w przenikających przyszłość oczach Jezusa: „Oto stanie mój krzyż Na polnej między Stanie wśród olchów Wśród kalin grom W Zaraniu złotym I odśpiewany będzie krzyż on Ptasim szczebiotem”

„I ofiarowan będzie mój ból Za wszystkie one W ziemi tej smętnej, wpośród tych pól Gniazda zburzone...”

„I ofiarowan będę Ja sam W polu czerwonym Za rzesze ptasze, pobite tam Jastrzębim szponem. I koronowan będę Ja—król Ciernia koroną Za rzesz skowrończych krzywdę i ból Za pieśń zduszoną...”

Gdy tak przejęta urokiem i wdziękiem Rafaela, pełna wieszczonego natchnienia, stanęła potem poetka w Sykstyńce, wtedy

wydało się jej, jakoby w inny została przeniesiona świat, świat Starego Testamentu, świat sprawiedliwego a groźnego i potężnego Jehowy. Zamiast wrażeń tchnących niebiańskim urokiem, pełnych helleńskiej radości życia i Miłosierdzia Nowego Testamentu, uderzył w nią duch Potęgi, co niezłomne ustanowiła prawa i za ich gwałcenie nieubłagane karze. I zadrżała dusza poetki od przedwiekowych wiewów, i „Wicher mi stworzenny podniósł na głowie włos I wpadł mi z szumem w uszy przepaści wiecznych głos...” „I harfą byłam drżącą, I Chaos na niej grał Ogromną pieśń bojową Wszechludów i wszechciał, I harfą byłam drżącą Od tknięcia onych rąk, Co z światów tworzą hymny Wszechjęku i wszechmęk I serce mi stanęło I buchnął żarem słuch I chryzmat wziął widzenia Mdlejący we mnie duch. I ujrzał moc żywota I śmiercią olśnion był, I niósł się przez otchłanie. Jak skra, jak ton, jak pył...” „I niósł się przez otchłanie Rozechwian w sobie sam, Płomienną pędzon wizją Do wiecznych bytu bram. I był zachwycon w kręgi, Gdzie wielki władca król: Utajon pod postacią Żywota—światów ból”.

Gdy rozchwiana, jak harfa, na której chaos Wszechduchów i Wszechciał Kaplicy wygrywał ogromną pieśń Żywota, pełna lęku i drżenia, zwróciła natchnione oko swe na freski sufitu, w których Mistrz przedstawił w nieśmiertelnych symbolach Dzieje Ludzkości, wtedy uderzyła ją przedewszystkiem wieszczka Sybilla, co księgę proroctw na łonie swem trzyma i w niej Losy świata zapisuje. Poetka usłyszała w mrocznej ciszy kaplicy szelest kart bożych i wyczytała w nich przeznaczenie Człowieka: „I bytu mu istota Raz będzie jutrznia złota Do ranka wszechżywota. To znów mu przez cmentarze, Jak widmo się ukaże Co ludy palcem maże. I wzleci w wiecznym pędzie Na jasnym zórz krawędzie I życiem to zwać będzie. I spadnie w wiecznym pędzie Na czarnej posian grzędzie, I śmiercią to zwać będzie...” „A życia jedno drzenie Rozchwieje na dwa cienie Na rozkosz i cierpienie...”

I oto naokół poetki zacierać się zaczęły wszelkie widome kształty i postacie kaplicy. Mrok spłynął na nią i welonem mgły przesłonił wszystko... W tym ciemnym mroku widziała jedynie mądrą i surową Sybillę, która księgę pisze“, Wśród ta-

jemniczych cieniów, kiedy to w kaplicy zmierzch się pod stro-
pem kołysze i sinieją mroczne nisze“, błyszczała jedynie proro-
cza twarz Sybilli, „która księgę pisze.“

Gdy się mgły jej wzroku odsłoniły, porwaną na nowo zo-
stała wizją fresku „Stworzenie Człowieka“. Zobaczyła w nim,
jak, unosząc się nad światem wirującym, z rozwianą od pędu
stworzonego szatą, Bóg—Stwórca wyciąga Swą rękę tworzącą
ku leżącemu na globie Adamowi. I wydała się jej ta ręka to
mroczną od cieniów Nocy, wezwanej właśnie do istnienia, to
złotą od kręgów promienistych słońca, któremu oto kazano to-
czyć się po niebie, to „trzęsącą Iskry światów w przepaści bez-
droża Pianami jeszcze kipiącą od kielzanego srebrną uzdą mo-
rza I siną porożem miesiąca“.. A w okół Stwórcy ulatują hufce
Serafów... „Jak groźny pęd ich lotu! Jaki szum, jaki wiew! Głu-
chy, daleki...“ To zaczęły się wieki... I widzi wieszczka, jak
Wszechmocny tchnie w proch o kształtach człowieczych swój
Dech, który zawsze będzie z Niem, „choć jest w ciemnicy cia-
ła zagrzeban“, widzi, jak pierwszy człowiek „dźwiga się z ziemi
Z oczyma zamkniętymi i do ręki Boga—Zuchwalec!—wyciąga
palec... i, głowę w słońce pysznym wznosząc gestem, obwieszcza
światu żywym głosem: Jestem!

To „jutrznia złota“ Bytu ludzkiego, to Ranek Wszechży-
wota. Lecz, po przejściu wiecznie pędzącego Istnienia, nadejdzie
Zachód Świata. „Wtedy się Sędzia ukaże, co ludy palcem ma-
że...“ i spocznie wtedy—na myśl tą—Okno wieszczki naszej na
wspaniałym a strasliwym fresku Sądu Ostatecznego. Zgroza i
strach ją opanuje. Widzi „zerwany świata mir, U powietrzu jęk
i skwir, Wstrząśnięte ziemi słoje“... „Żywioty się zmieszały Sta-
nęły morskie wały Rozpadły się pagóry Po ziemi pełzną chmu-
ry“... „Zadrżały mogił trzewa“. „Z pod grobowej się darni Bu-
dzą goście cmentarni. Bieleją zgła, jak śniegi“. „Rozpadł się
nieba zgrab Wołanie słychać trąb. To idzie On!.. Buchnęła ja-
sność złota, Pan śmierci i żywota Na sądny wstąpił tron! Ude-
rzył stopą w chmury“.. „Lecą duchy, jak liście Wicher je pędzi
ogniście, Szeroki mogił wiew!“ „Okropna, czarna fala Ciał kłę-
bem się przewala, Sinego pełna trupa“. To—przestępcy. „Cze-

iają się z rozpaczą, Klną, modlą się i płaczą“, Lecz wszyscy padają wznak, rażeni gromem, który wypada z podniesionych obu rąk Sędziego--Chrystusa: „I podniósł obie ręce I dał ich wiecznej męce, Z niebieskich swoich właści Otrząsnął ich w przepaści Wszechwzgardy ruchem Precz!“:

Czyż ta transpozycja „Sądu“ Michała Anioła nie jest godną stanąć obok swego pierwowzoru? Czyż nie odziany jest tu z całym swym zamieszaniem, kiedy się wszystkie żywioły rozpadły, Chaos Końca Świata z „zerwanym świata mirem, ze straszonym jękiem, skwirem“ — oddany z całą „przejmującą grozą, straszną w prawdzie swej?“ Ze strof tych wionie ku nam zgroza otwierających się mogił, pędzonych wichrami duchów—ciał, klębem się przewalających i staczających w zionące ogniami otchłanie na skinienie rąk Potężnego Sędziego, który wypędza ich ze strasliwą pogardą ze Swych niebieskich właści.

Wzniesiony na wyżyny Najwyższej Sztuki artyzm twórczy Konopnickiej odtąd już stałe na nich przebywać będzie. Odezwie się pełnym zaświatowej tajemniczości akordem w Piotrowej Bazylice, wyśpiewa wspaniały nokturn na cześć Romy, przed którą schyla się jej czoło za wiecznie pulsujące w niej życie, lecz i na jej potępienie, że „Nie podniosła ludzkiego poniża W światło, co niegdyś buchnęło tu z Krzyża“. Wejdzie na Janiculum, skąd uderzy ku niej słonecznymi blaskami cała wielka przeszłość Wiecznego Miasta i roznieci w sercu poetki gorące tętno tak, że „je całe w ogniu“ jakby czuć będzie. „Na kruzganku Eremitów“ odda hołd Cieniom Torquata Tassa, mszy żałobnej zaś asystując, mszy, na której kaznodzieja, trzymając w ręku czaszkę Tassa, ukazuje ją z kazalnicy zgromadzonemu ludowi, mówiąc: Oto, patrzcie! Wstała z łoża Wieków, wielka biała boża!“ A lud ryknął płaczem, jak wicher...

Przeniesie się potym myślą swą do dawnych czasów Rplitej Rzymskiej: w pełnym starorzymskich ech poemacie „Tarcza Scypjona“ wyśpiewa chwałę Zdobywcy Kartaginy, a w „Klaudji“ opisze losy tej uroczej zalotnicy rzymskiej. Aż wreszcie myśl jej się zatrzyma na Romie Cezarów, kiedy to Demos witał

władców swych radosnem Ave! klaszcząc przytem w dłonie, ścieląc im róże pod nogi—za to, że mu kark deptali nogami!...

Od tych, artystycznie pięknych, pełnych dziejowej prawdy i historycznego kolorytu wspomnień zamierzchłej Romy wieje jednak chłodem. Snać autorka nie przejęła się głęboko tym Rzymem starożytnym—a o Colosseum nic nawet nie wyśpiewała... Przesłoniły go uroczne lub potężne wizje Rzymu Odrodzenia, Rzymu Loggiów i Sykstyny.

Przesłoniły go także trwające przecież ciągle i odbierane stale wrażenia pełnej światła i blasków, czaru i uroku, przyrody włoskiej: „Łóz przezrocza, winnic kraty, Czarne pinje i osterje I jaskrawe w oknach szmaty“ „I liljowych wzgórz widziadła“ co majaczą „za mgłą siną“ i „te wzgórza, co się srebrzą Zielonością oliw bladą“, te cyprysy, co „na drogę Przestrzeliste cienie kładą“, ta, co „srebrnym wiankiem leży Trzoda owiec zadumana“, ten pastuszek „w kozłem runie“, co „świętego“ ma kształt „Jana“. „Te kukurydz pęki złote“, co, się susząc, „u strzech wiszą, Te od ruin ciche szeptu Lazurów zmierzchu ciszą“..

Natchnienie poetki zajaśniało znów pełnym blaskiem po zwiedzeniu Willi Wołkońskich. Stała jej w oczach postać pielgrzyma z dalekiej krainy, którego witano tu z upojeniem rozkoszy. „z żarem ust, co gorzały szeptem miłości i szeptem zachwyty, z drżeniem żądz nocy, z omdleniem dosytu w poranek biały“. Teraz, gdy zwiedzasz te ciche pokoje, „woń róż umarłych“ bije na cię z wnętrza „I fala ognia od ognia gorętsza Tchnie w pierśi twoje, I stoisz w progu, iść dalej nieśmiały, Rzęsą nakrywszy żrenicy płomienie... Tam, za kotarą, dwa szeptu, dwa cienie W uścisk się zwiały!“... Adam „tu był, tu czuł, tu marzył“. Tu pierś jego przejęta była tęsknotą ku mrocznym borom, a z pieśni jego były szumy zbóż i gajów drżenie. „Stąd duch jego, napięty piorunowym łukiem Natchnienia, strzałą leciał przez włoskie lazury i szum swój zlewał w akord z północnych burz hukami I ciskał błyskawice i gromem bił w chimury. Tu na samotnej sosny patrząc czarność, smętny, Odwracał od róż oczy tęskne, gorejące... Stąd orzeł, gniazda swego górnego pamiętny, Wzniósł loty, wzbił nad ziemię i uleciał—w słońce!“

Aby wraz z orłem szybować strzałą po górnych, podniebnych przestworzach, po przez błyskawice i gromy, i wysledzić, dokąd uleciał—a uleciał w słońce!—trzeba, zaiste. być samemu orłem.

I orłu—wieszczce naszej tęskno do gniazda swego. Więc przenosiła się orlą swą myślą „na drogę kmiecią, pomiędzy siół opłotki“, do tych chat, „gdzie ogieniek lichy świeci“. „gdzie bocianie z brony gniazdo“. Wsłuchuje się w zadumie w szept polnego ziela w zbożowym szumie. I pełna nieukojonej tęsknoty przyrzeka sobie: „Nigdy o was nie zapomnę, pola moje prze-faliste, Lasy moje przeogromne, Wody moje bystre, czyste!“, Gdy siedzi w swej komnacie florenckiej, to, samotna, podparwszy głowę ręką, pije duchem głos i ciszę, płynące hen, zdaleka, z łąk i pól mazowieckich. Nawet: „jakoś dziwnie, z mazowiecka, Cwierka świerszczyk gdzieś z zapiecka“. Słyszy. jak „roze-brzmiało w dal piosenką, Co wzleciała nad lirenką, Echo się ko-łysze“ w powietrzu. „Choć zamknięte drzwi podwoje, choć noc włoska taka cicha, Weszły przecież w progi twoje Jakieś dziwne niepokoję: Coś po izbie wzdycha“...

Gdy w łodzi na morze się puści, wtedy, wsłuchując się w jego głos, słyszy w nim „płacz echowy“. Pragnie odmówić z nim „pacierz stary Dzieciństwa swego i porannej wiary,“ płacz pól dalekich, „gdzie dzwoni łąn żyta“. Morze jej odpowiada „milczeniem zadumy, I takim szumem, jak borów jej szumy...“

Wtedy sercem jej szarpie gorzkie łkani^ę zwątpienie ją o-garnia i w duszy powstaje bunt. Lecz budzi się w niej Siła we-wnętrzna i Moc żywota, która do niej:

Zaprawdę, mówię, że w łzach twych jest życie,
A w twym zwątpieniu—strzelistość jest wiary,
A w twoim buncie—szum skrzydeł i wzbicie
Nad padół szary.

Zaprawdę, mówię, że ból twój cię nosi
W cichym powietrzu nad bagnem żywota
Żeś jest jak trawa, gdy świt ją zarosi,
Srebrna—a złota.

Zbudzona w niej Siła i Moc utrwaliła się wiarą w potęgę swego daru twórczego i. zapłodniona niezmogoną a gorącą Miłością Kraju Ojczystego, wydała z siebie tę pieśń nad pieśniami, która zwie się „Panem Balcerem“.

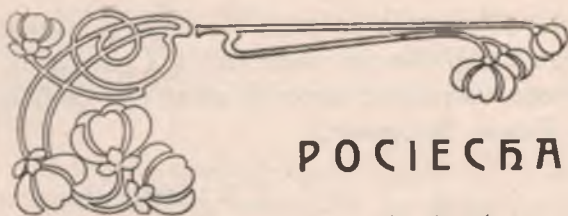
R. Stępowski.



*Kiedy Bóg, mściwy za przedwieczne winy
Raził piorunem gniewu bryłę ziemi,
Gniew poszedł ogniem przez jaskiń szczeliny
I zakrzepł w głębiach żyłami złotemi —
I odtąd ziemia nasza jest bogata
I odtąd złoto jest przekleństwem świata.*

Józef Weyssenhoff.





POCIECHA

* * *

Ani ja kiedy miałem kogo,
ktoby mi bratnią podał dłoń
i poszedł ze mną moją drogą,
przed wspólną gwiazdą chyląc skroń.

Ani ja miałem towarzysza,
wędrowiec smutny, czciciel zórz...
Wierną mi była tylko cisza
zamierających głosów burz.

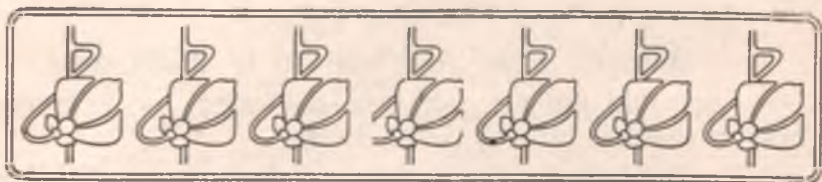
Anim ja kiedy sycił usta,
spragnione ciepłych serca tchnień. —
Zawsze ma czara była pusta,
zawsze me słońce skrywał cień.

Idę mą drogą, za szelestem
liści powiedłych zwracam słuch...
I tylko smutek szepcze: „jestem” —
i idzie przy mnie, wierny druh.

Idę mą drogą, mijam kwiaty,
co tuż, wśród cudzych rosna grzęd...
Idę złudzeniem mem bogaty
i ślepy wiarą w życia pęd.

I choć nie miałam ja nikogo,
ktoby mi podał bratnią dłoń — —
idę wciąż dalej moją drogą,
pociechą mi z grzęd cudzych woń...

Zygmunt Michałowski.



ЕСБА DALEKIE.

Tylko brzozy karłowate o pałakowatych, potwornie powyginanych gałęziach i szare szmaty poszarpanych obłoków odpowiadały ponurym myślom człowieka, idącego przez niezmierny las, pokrywający grząską powierzchnię tundry.

Już zmierzch zapadł płochliwy, a z gąszczu krzaków wyłoniły się cienie o miękkich, węzowych mackach i otaczać zaczęły postać człowieka i ledwie dostrzegalną już w zmroku wąską ścieżkę, znikającą co chwila w gęstej trawie.

Przez głowę idącego mknęły myśli smutne, a beznadziejne. Szedł powoli, gdyż długi szmat drogi pozostawał przed nim, a był już znużony.

Opędzał się leniwie od wijących się dookoła komarów, drobnych, jadowitych muszek i wielkich, gryzących do krwi bąków.

Gdy już Wielka Niedźwiedzica wspaniale zabłysła nad lasem, ujrzał zdala świecące się okno niewidzialnej chaty, tonącej w ciemności.

— Stary nie śpi—pomyślał—ucieszy się biedak!

Kroku dodał i śpieszył się w stronę światła, które coraz wyraźniej błyskało wśród nocy, pełnej ciszy niewysłowionej i nieuchwytnych drgań natury...

Wszedł do sieni i na głos zawołał:

— Bywajcie panie Andrzeju! To ja—Sulikowski.

Lecz nikt mu nie odpowiedział, więc, oczyszczając buty z czarnej, lgnącej ziemi dodał:

— Znudziłem się, siedząc z Jakutami na Wielkiej Inguty, gdzie oprócz mnie nikogo z zesłańców niema i przez dwie doby dałem się do was, panie Andrzeju, przez las ten przeklęty a straszny, jak zmora, przez trzęsawisko zdradliwe.

Drzwi uchylił i wszedł do izby. Nagle drgnął i oślupiał.

Przy prostym, nieheblowanym stole siedział starzec, o twarzy bladej, pofałdowanej w zmarszczki głębokie, z oczami otwartymi i pilnie patrzącymi przed siebie z uporem i badawczością trupa.

Podszedł i dotknął ręki zwieszanej z poręczy krzesła.

Była zimna, lecz znać było, że niedawno jeszcze płynęła w żyłach tej ręki gorąca krew.

Zajrzał mu w oczy. Były już szkliste, a zachodziły bielmem śmierci i obojętności wiecznej...

— Panie Andrzeju!—jęknął gość...

Cisza złowrogo czaiła się w kątach izby i, zdawała się śmiać z trwogi i rozpacz człowieka...

Zaczął się krzątać. Zimne zwłoki złożył na prycze, a w ręce wcisnął święty obrazek, zdjęty ze ściany.

W lesie wicher biegł i spór wiódł z brzoza i rzeką, która szumiała, wartko tocząc swe fale w kamienistym łożysku. W izbie milczenie panowało głębokie.

Stary wygnaniec leżał sztywny i obojętny, a gość wpatrywał się w jego twarz zbolalą a spokojną...

Nareszcie powstał i zbliżył się do stołu. Tu leżała książka otwarta; schylił się i przeczytał:

„Serca się nasze pod stopy twe ścielą,

„Polsko, jaką cię nie widziały duchy!

„Ty wyjdiesz srebrna łów naszych kąpielą
„Wymyta, strojna w zbóż twoich rańtuchy...
„Poła się twoje wiosną rozwesela
„Ludów! Ty cała w słoneczne wybuchy
„Wolności pójdziesz, co tleją już w niebie...
„Idziemy, matko! Idziemy do ciebie!”

... Ciężkie łkania szarpnęły piersią człowieka, upadł
na krzesło w niemocy...

Zdala las mu szumiał obcym szmerem i grała wo-
da złośliwą pieśń:

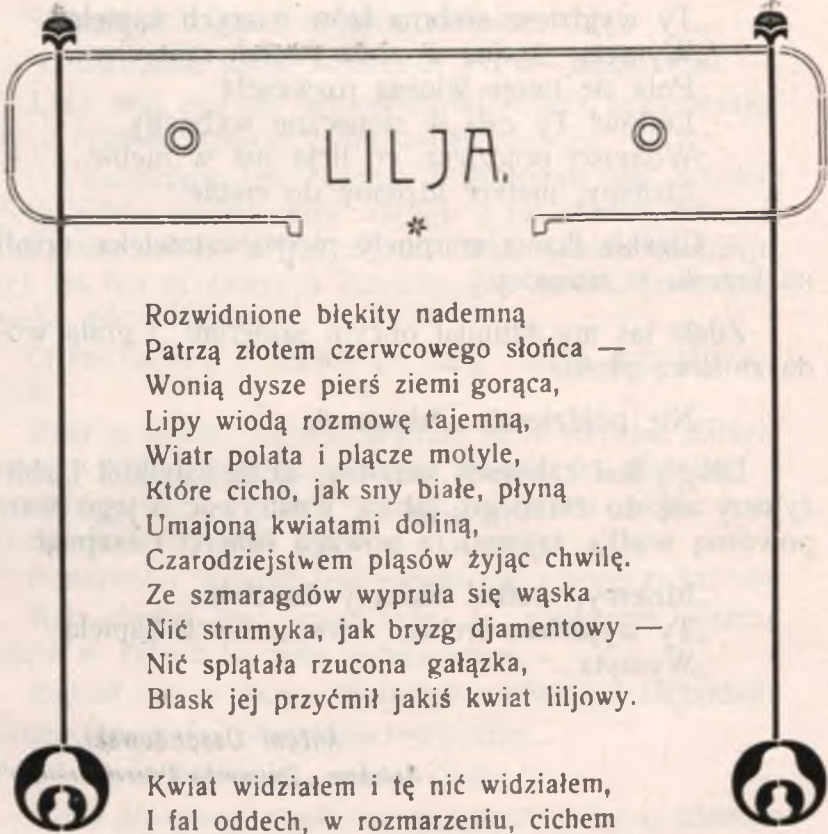
— Nie pójdziesz!.. Ostaniesz!..

Długo łkał człowiek samotny, aż się uspokoił i, zbli-
żywszy się do zmarłego, jął się wpatrywać w jego twarz
poważną wielką, tajemniczą powagą śmierci i szepnął:

„Idziemy, matko! Idziemy do ciebie...
„Ty wyjdiesz srebrna łów naszych kąpielą
„Wymyta...”

Antoni Ossendowski,
Redaktor „Dziennika Petersburskiego”





LILJA.

*

Rozwidnione błękity nademną
Patrzą złotem czerwcowego słońca —
Wonią dysze pierś ziemi gorąca,
Lipy wiodą rozmowę tajemną,
Wiatr polata i płacze motyle,
Które cicho, jak sny białe, płyną
Umajoną kwiatami doliną,
Czarodziejstwem płasów żyjąc chwilę.
Ze szmaragdów wypruła się wąska
Nić strumyka, jak bryzg djamentowy —
Nić splątała rzucona gałązka,
Blask jej przyćmił jakiś kwiat liljowy.

Kwiat widziałem i tę nić widziałem,
I fal oddech, w rozmarzeniu, cichem
Igrających z tym lilji kielichem,
Z jego piersią, z jego łonem białem.
Krótką chwilę trwał ten obraz złoty:
Lilja zgasła — nić rwała się dalej...
Tylko cicho coś szeptały fale
O rozkoszy doznanej pieszczoty.

Kazimierz Głński.



*Pamięci
nieznajomej.*

Cały tłum pracowitych warszawiaków, zaludniający co rano przed godziną 9-tą ulicę Marszałkowską, spotykał na chodniku po nieparzystej stronie, między Ś-to Krzyską a Królewską, przed dziesięciu laty pensjonarkę, która zwracała uwagę.

Taka była wiosenna!

Szła w brązowym mundurku i czarnym fartuszk, z czarną teczką, w pensjonarskim kapeluszu z wiszącymi wstążkami. Ubiór niewykwintny, kontury ostre, kształty szczupłe, rysy drobne, cera ciemna — jak u tysiąca innych, ale oczy.—

Te oczy były wiosną. Ciemne, głębokie, duże, rzucały snopy światła, promieniowały tak, iż cała jej postać była zawsze na tle jasności. Zdawało się, że idzie w słońcu. Był to prawdziwy czar, tem potężniejszy, że bezwiedny, bo pensjonarka nie należała do zalotnych.

Jeśli szła z towarzyszkami, miała dziwnie poważną minę,—jeżeli rozmawiała, to można było przysiąc, że mówi o gramatyce albo geometrii, z pewnością nic zajmującego: szara lekcja, szare dziś.

Ale jeśli szła sama, inaczej całkiem wyglądała: główkę pochylała naprzód z jakimś nieujętym wdziękiem, promienne oczy spuszczone przysłaniała ciemnymi rzęsami,

a na ciemno-różowych ustach osiadał rozkoszny jakiś wyraz słodczy, zadumania.

Niewątpliwie marzyła wtedy, snuła jakieś plany, krew krążyła w niej żywiej i zabarwiała lekko ciemne jej policzki, krok stawał się elastyczniejszy.

Granatowe czapki odskakiwały przed nią od jasnych i ciemnych czupryn, ale odpowiadała na to obojętnie, najczęściej bez uśmiechu, sztywnem skinieniem głowy, a i uśmiech był jakiś martwy, bez wyrazu.

Zdarzały się zaczepki, — przyjmowała je z oburzeniem i przestraczem. Ciemny rumieniec oblewał jej twarz aż po włosy, z oczu strzelały ognie, zupełnie krwawe ognie, i uciekała, przyspieszając kroku, uciekała zupełnie szczerze.

Spotykaliśmy ją wszyscy przez lat kilka: rosła, szczupła, potem zaczęła nabierać kształtów, ale zawsze była wiotka i wysmukła, a oczy jej rzucały coraz jaśniejsze światło.

Aż przyszedł taki rok, że zabrakło jej na Marszałkowskiej o 9-ej rano. Widocznie skończyła pensję. Szkoda, pociemniało jakoś na ulicy.

Ale w parę miesięcy potem spotkałam ją przypadkiem w tem samym miejscu w południe. Niepodobna jej było nie poznać, ale jakże zmieniona!

Piękna panna w eleganckiej, modnej, długiej sukni, w kapeluszu z kwiatami, w rękawiczkach i z parasolką, najwidoczniej nieoswojona z tym kostjumem, świeżym, nowym, jak z igły, krępującym swobodne ruchy i nie dobranym do wyrazu twarzy.

Wyglądała, jak przebrana.

Ale widocznem było, że strój bez zarzutu sprawia jej przyjemność. Z jakąś jej tylko właściwą, pełną wdzięku niezręcznością piastowała kosztowną parasolkę, rada, że słońce świeci, i deszcz jej nie uszkodzi. Uczesanie włosów misterne i sztuczne, świadczyło o nakładzie pra-

cy i starania, a było jakieś obce, pożyczone, nie jej. Suknia na doskonałym gorsecie leżała bez zarzutu, ale gdzież się podziało śliczne pochylenie głowy?

A nadewszystko żał mi było oczu. Ich promienie były wspaniałe: gorące i jasne, ale nie tamte, nie tamte dziewczęce i słodkie.

Strój i osoba zespalały się jednakże coraz lepiej,—stawiała się wytworną, piękną damą, zwracała znowu na siebie uwagę. Ubierała się ciemno, prawie zawsze czarno,—chodziła zawsze sama.

Nazwaliśmy ją: czarna nieznajoma.

Było to na jesieni, potem zniknęła z oczu. Chyba wyjechała, bo nie można było jej spotkać.

Upłynął rok, tylko *jeden rok*.

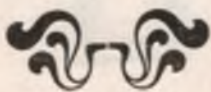
Szła znowu Marszałkowską — o-twarzy starej, zwiędłej, pomarszczonej, krótkich włosach, już nieco posiwiałych i w zaniedbanym stroju.

Wszystko w niej zgasło, aż do promieni oczu, które miały barwę popiołu, otoczone zaczerwienionemi powiekami, bez śladu rzęs. Były zupełnie brzydkie, martwe, bez wyrazu.

Tak ją widuję dotąd. Stara, brzydka kobieta, o twarzy drobnej, suchej i kościstej, przedewszystkiem suchej, w kształtach i wyrazie,—idąca zawsze prędko, jakimś miarowym krokiem,—ubrana nieporządnie i niedbale.

W ciągu jednego roku dusza jej — umarła. Dla tysięcy jest obojętną, brzydką, powszednią marą, lecz kto pamięta ten wiosenny kwiatek, z bólem i żalem musi zawołać: — Dlaczego?!

C. Niewiadomska.





U stóp Sfinksa.



Wieszczych przeznaczeń święty boże!
sto wieków śpi u twoich stóp,
dokoła pustka i bezdroże
i wierzeń podeptanych grób.

Sfinksie, kamienne twe spojrzenie,
czy w niem nienawiść śpi, czy ból,
wkoło zaległy nocy cienie,
ty czuwasz, tajemniczy król.

Mkną wieków burze i orkany,
na tronie życia zasiadł grzech.
Ty, napół piaskiem zasypany,
czy słyszysz jedno choć z tych ech?

Dokoła pustka i milczenie,
śpi Sfinks, „przeznaczeń wielki bóg“
noc, cisza, krążą wokół cienie...
... czy Ty zwyciężysz, czy twój wróg?

Jan Iwański.

Pielgrzym samotny.

*Pielgrzym samotny do swej Mekki
idę przez pustyni skwar i piaski,
nie świeci dla mnie słońce łaski
a kres mej drogi tak daleki.*

*Serce niepewność jutra pali,
dusza się wgrząza w czerze miraż;
w niemych przestrzeni straszny skwarze,
pielgrzym samotny idę dalej.*

*Pragnienie pali moje usta,
choć serce płonie mi ofiarnie.
Czemu---choć przyszłość moja pusta
w takie pograżam się męczarnie?*

Jan Tuwński.





ZADANIE SZKOŁY.

Główną podstawą życia społecznego ludów europejskich jest spuścizna moralna dawniejszych stuleci; największą potęgę i spójność wykazują te narody, w których z tej spuścizny najwięcej pozostało.

To na wytworzenie czego długiego trzeba czasu, co nie może być jednego pokolenia dziełem, największym musi być otoczone szacunkiem i pieczołowitością. Warunki w jakich istnieliśmy uniemożliwiały spełnienie tego zadania, dzisiaj chociaż w części możemy dbać o to przy pomocy szkolnictwa prywatnego. Tak jak przeszło sto lat temu hasłem każdego kochającego swój kraj Polaka, który pracował dla odrodzenia narodu, było: skarb i wojsko, tak teraz hasłem dla każdego, który w tym kierunku pracuje, powinno być: szkoła.

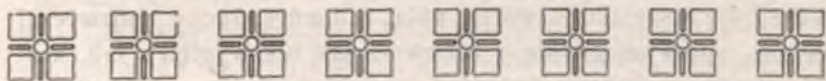
Poczucie narodowe zakorzenione jest głęboko w sercu każdego narodu. Może drzeć, może być uśpione a wtedy naród mdleje, drzemie i jest uśpiony. Ale niech się poruszy ton właściwy, a odezwie się tu serce i uczucia w nim uśpione, zadrży i zatętni jak skrzepły wulkan śniegiem przysypany i lawą gorącą przeleje się na wszystkie strony.

W uczelniach naszych pokolenie obecne powinno się wychowywać w szczerej miłości własnego narodu bcz nienawiści dla innych. Nasza wielka literatura jest jedyną, która podniosła ideę ojczyzny do potęgi ideału religijnego i zrobiła z narodowości świętość nienaruszalną, a jako cel ludzkości postawiła nie zagładę narodów lub tryumf jednych z nich, ale harmonijny rozwój wszystkich, każdego w służbie swojego posłannictwa. Zadanie więc naszej szkoły polega na powrocie do czystych źródeł natchnienia narodowego, na nawiązaniu swej pracy do tych prac zbiorowych wielu generacji, które nam zostały w spadkobierstwie.

Młodzież powinna być wychowywana tak, żeby się stała obywatelami cywilizowanego społeczeństwa, ludźmi mającymi poczucie obowiązku i odpowiedzialności za swe czyny, miłującymi pracę i przywiązanymi do tego, co jest owocem pracy poprzednich pokoleń, umiejącymi uznawać władzę nie tylko tę, która siłą zmusza do posłuszeństwa, ale władzę moralną.

Gdy doczekamy się tak wychowanego pokolenia, — o przyszłość swoją możemy być spokojni.

Gustaw Zabłocki.



Widok nędzy daje nam trwogę przed ubóstwem, zaś trwoga ta jest największem nieszczęściem naszej parweniuszowskiej epoki, największą groźbą dla przyszłości, gdyż czyni człowieka niewolnikiem pragnień i dążeń niższego rzędu.

Zofja Kowerska.



Opowiadanie wiatru.



Jest trochę ciasno, ale nie z powodu zbyt szczupłych salek, lecz dlatego, że „goście” lubią tu bywać i przesiadywać dłużej niżby należało.

Jest nieco szaro, ale tę szarość tła rozjaśnia mnóstwo jasnych punktów. Oprócz „zimnych płomieni” lamp błyszczących jak ściągnięte z nieba gwiazdy w mroźną noc,—lśnią breloki na każdej kamizelce; na każdym kapeluszu palą się wielkie szpilki wetknięte w pęki piór; migocą kamyki w pierścionkach na białych, lub śniadawych rękach. Tu i ówdzie przelewają się iskry czarnych paciorkowych upiększeń sukien,—a nadewszystko jaśnieje mnóstwo oczów, — pięknych, czarnych, dużych oczów, try-skających żywym światłem.

Jest dobrze. Zaciszenie, swobodnie i nadzwyczaj wesoło. Weseli się wszystko,—twarze, usta, rumieńce, ruchy nadzwyczaj zwinne, sprawne, giętkie a rozlewne. jak łuk wygiętej fali, którą odtrąciła granitowa twardość wysokiego brzegu. Weselą się powieki podnoszone niby ociężale a z przedziwną filuterją nieświadomą samej siebie. Weseli się gest odwracanych w ukośnem pochyleniu głów, gest, mający oznaczać skromność a robawiony prawie do dziecinady, chociażby odwracana głowa połykiwała gładką skórą łysiny, otoczonej srebrzystą szpakowością.

Najwięcej jednak rozweselony jest śmiech.

Rozbrzmiewa on bezustannie... Porywa się i dźwięczy rozochocony a swobodny, jako rozmach takich skrzydeł, które czują nieodparcie, że przestwór, kędy się rozpostarły — do nich należy. Porywa się, rośnie, potężnieje, przelewa wielkimi kaskadami, a gaśnie wreszcie na to, aby wybuchnąć natychmiast z równą siłą.

Jest może w tym śmiechu odrobina pospolitości, ale tonów bezmyślnego błazeństwa nie posiada on wcale. Raduje się w nim przedziwna szczerość i jędrna, wyćwiczona w dużej samowiedzy energia.

Jakże niepodobnym jest on do tego śmiechu, jaki za naszych czasów rozbzmiewa w krainie, skąd ongiś ukradkiem ulotnił się młody potomek rodu Walezjuszów!

W jakiej krainie.? En Pologne.?

Oh, to gdzieś bardzo, bardzo daleko! Niezmiernie daleko od tej zacisznej kawiarni. Aż tam... tam...! Prawie na końcu świata!.. Très près de Sibirie!..

Pst... Ależ on, ten śmiech daleki jest i tutaj! Jako żywo jest!

Wyrwał się ot, z tamtego kąta sali, osłoniętego nieco zwierciadlaną szafką, pełną przeróżnych słodkich cacek.

Wyrwał się młody, świeży, — powiedzmy nawet — srebrzysty, ale, nie przegrawszy połowy naturalnej swej skali, załamał się, splątał gammę i w pośrodku umilkł.

Czy go stłumiły te gęste czupryny skupione w zwarte koło? Czupryny połyskujące ni to świeżością wyłuskanych tylko co kasztanów ze swej łupiny; ni to blaskami starych złotych klejnotów, lub zgoła jaśniejące jak len zwisły z kądzieli oświetlone płomieniem wielkiego komina.

Do sali wchodzi nowe towarzystwo, wnosząc ze sobą tamten szczerzy swobodny śmiech, — iskry w oczach i przeróżne barwy niewieścich kapeluszy szeleszczących piórami i wstążkami

— Spójrzycie, jaka ładna! Ot ta w niebieskościach... Co za cko, co za szyk! — zahuczał szept z kąta za szafką, przyczem dwa łokcie trąciły lekko sąsiedzkie żebra, dla zwrócenia uwagi. —

Słowo daję, jeszcze takiej dziś nie było!

— Nie przerywaj-że ciągle... Opowiadaj, Janek dalej, — odszepnięto:

— Zupełnie wyjątkowa! Spójrzycie tylko raz! — nalegał pierwszy głos.

— Takich wyjątków, według ciebie, bywa kilkanaście codzień.

— Nie zwracajcie uwagi na te wieczne zachwyty, — odezwał się głos inny.

— Można słuchać i patrzeć... zresztą historia nie jest znów tak przeraźliwie ciekawa...—przekomarzał się pierwszy.

— Patrz i słuchaj, nie patrz i nie słuchaj, wogóle rób co ci się podoba, a nam nie przeszkadzaj...

— Chodziliście, chodzili i co?

— ...chodziliśmy długo, bo wieczór był taki, że mi się nie chciało pomyśleć o powrocie do nor..

— Słowem wersalski!

— Wersalskie mogą być pozy, ruchy i takie tam różne fanaberje a nie wieczory!.. Wersal to sztuka, a taki wieczór, że się nie chce do nory powracać. jest—naturą.

— Paryski wieczór, jest naturą paryską a nie—prawdziwą...

— Znów się sprzeczasie?.

— Mów Janek, dalej, nie zważaj!

— ... chodziliśmy, chodzili...

— O, jakże długo tego chodzenia! wybrnijże raz z tej materji i wal dalej.

— ... nareszcie...

— Nareszcie!

— ... koleżanka Moroszówna mówi: „Na taki niebywały wieczór jest nas za mało“.

— A ileż was osób było?

— ... ona i ja...

— To rzeczywiście nie wiele.

— ... Otóż uradziliśmy wyciągnąć jeszcze kogo na ten spacer. Najbliżej było do Rębskiego... Gramolimy się na górę, Morosówna puka do drzwi i piszczy: „Zasiedziałam się u koleżanki i teraz boję się wracać sama do domu, proszę, odprowadźcie“! — „W tej chwili służę“ — odpowiada Rębosio. Nie przeszło i trzech minut jak był gotów. Tymczasem ja niewiastę odsunąłem od drzwi, a sam oblicze — że się tak wyrażę — wetknąłem w szparę kiedy on otworzył. Myślałem, że coś.. tego... ale się chłop pohamował... a ona nos w zarękawek wsunęła, aby parsaniem sąsiadów nie niepokoić.

Z pomiędzy zwartych głów wybuchnęło kilka cichych pasażów śmiechu, które wraz umilkły zawstydzone.

— I już koniec? — zapytano.

— ... ale gdzie tam...

— Cóż dalej?

— ... idziemy we trójkę...

— Ładna historia! Znow zaczynaj iść.

— Powiedz odrazu do której godziny?

— ... parę minut tylko, bo po Jacka..

— I taka sama awantura?

— ... jak dwie krople wody...

Czupryny trzęsą się z uradowania, ale kaskady śmiechu nie podnoszą się pod lampy, co to błyszczą jak gwiazdy w noc zimową.

Po chwili słychać skromny szept:

— ... później do Adama...

— Co?

— Jak?

— Znow to samo?

— ... tak. Adam zdaje się był nieco rozebrany, bo guzdrał się dość długo, ale nic — czekaliśmy...

— A to się chłopcy złościли.

— ... czy tylko oni! — szepnięto jeszcze skromniej niż przedtem.

— A?

— A?

— Nie możliwe!

— Ilu, ilu tak wyciągnęliście?

— .. czternastu!.. Czter-nas-tu...

— Żarty!

— ... słowo...

— I wciąż ta sama historia.

— ... Wciąż. Tylko już nie sam narażałem się i nietylko Morosówna pischczała, bo u Nowińskich zabraliśmy całe towarzystwo z paniami

Teraz znów śmiech się nie podniósł, lecz tłumiony wstrząsał tylko piersi i ramiona.

— Piękna zabawa! — wykrztusił ktoś.

— Nadzwyczajna!

— Jakże się to skończyło? — zapytał głos pierwszy, gdy odsapnięto po wybuchu bezdźwięcznej wesołości.

— ... Jak zwykle.

Na to „jak zwykle“ jedna z ciemniejszych grzyw podniosła się ruchem energicznym, niemal najeżyła wyzywająco i głęboki o pięknym tonie głos, którego dotąd nie było wcale słychać, zawołał:

— Tego zwykłego jest tu między nami za wiele... Stanowczo za wiele! Taka moc godzin w knajpach też to strach! Czas się marnuje, głowy się marnują i serca!

— No, no, gdzież ty tego marnowania widzisz tak dużo? Chociażby taka siła jak Jacek, czy się nie marnuje?

— A skądże ty wiesz, że on nic nie robi?

— A bo nic z jego pisania nie widać.

— Jacek jest bardzo dziwny, pisze on i dużo, ale światu nie pokazuje.

— Naprawdę! Wiesz o tem?

— Wiem... Nawet przyznam się wam, że wziąłem jakiś niewielki kawałek z jego biurka i chciałem się z wami naradzić, czyby do jakiego pisma nie posłać.

— Bez jego wiedzy?

— A chociażby.

— Trzebaby wiedzieć, co to jest.

— No to wam przeczytam.

— Masz przy sobie?

— Mam.

— Czytaj...

— Zobaczymy!

— Ciekawe... ciekawe... Kiedy on ma czas na pisanie!

Zaszeleściły kartki papieru wyjęte z bocznej kieszeni i głębokoci, sympatyczny głos zaczął:

„Opowiadanie wiatru.” Szczytom najwyższych gór bywa najczęściej hardzo nudno, a to dla tego, że są zbyt wysokie, zbyt oddalone od wszystkiego, co się porusza, czuje, żyje.

Niższe góry mają jeszcze takie urozmaicenie w swoim wiecznym bezruchu:—troszczą się o gniazda orle, by im się krzywdą nie działa od burz, zwłaszcza kiedy piskłeta jeszcze goliznami nieopierzonymi świecą, i wznieść by się to ni jak nie mogło na własnych pałkami sterczących skrzydłach;—troszczą się o te okruchy ziemi wichrami naniesionej, żeby jaka taka roślina miała się w co wkorzenieć i szarość kamienistą umaić; strzegą wydeplanych przez kozice ścieżek, ochraniając je żwirem, aby się ścieżynami ostawały a nie czyniły wadołami podczas ulewy, i jeszcze tam coś nie coś mają do roboty.

Czasem się nawet rozrywka trafi. Oddzieli się naprzykład paru zuchów od mrowia ludzkiego i pnie się, pnie w górę, karaku nadstawiając, aż uda im się wierzchołka dosięgnąć. Toż to się raduje! A śpiewa na tych wysokościach, a huka, a klaszcze... aż martwa cisza niebieskiego powietrza dziwi się, i żeby prze-

dłużyć uciechę ich, swoją, kamienistych rozpadlin, karłowatych jałowców i zadumanych limb,—hukania i pieśni odrzuca od skały do skały, od wichru do wichru, prawie że do nieba!

Czasem się zabłąkane stadko za wysoko zapędzi i w pociesznej bezradności stoi, skarżąc się ryczeniem wielkiem. Trzeba takim przestraszonym tworom zbocza łagodne podsuwać pod nogi i sprowadzać je ostrożnie.

A czasem i rzewne chwile nadchodzą na te mniejsze szczyty. Oto zdarza się, że muszą one jeden, jedyny rozpaczny krzyk rozbić na jękliwe, drżące bólem echa, a zaraz potem utulić na jakiej wyrwie poszarpane, krwią ociekające szczątki żywego przed chwilą życia.

Wszystko to rzadko się zdarza, ale się zdarza.

Zaś na najwyższych szczytach nie dzieje się nigdy nic.

Trwa tam zawsze jednostajne, smutnie zadumane milczenie, nie poprzedzone nigdy żadnym zgiełkiem, żadnym dźwiękiem, a więc nie upragnione nigdy.

Milczenie—nuda! Milczenie—ból!

Jedyną rozrywką zakapturzonych śnieżnymi płachtami staruchów, są opowiadania bywalca-wiatru.

Ale on za pogody bezchmurnej nie bywa nigdy w nizinach, to też historie jego są zawsze bezsłoneczne, tęsknicy pełne, a czasem takie straszne, że gdyby je słyszały szczyciátka małe, napewno budziłby je po nocach wielkooki lęk.

Przyleciał oto i dzisiaj wicher-wyjec na najwyższe szczyty i kołysząc się na wszystkie strony opowiada swoim zawodzeniem bajkę-niebajkę.

— Nie znacie wy mnie—mówi—zaspane starce, jaki ja naprawdę jestem! Was ja z żadnej strony poderwać nie mogę, chyba jaką garstkę śniegu uszczknę, rozwieję po tej ogromnej pustce i tyle.

W nizinach to jest na czem pohulać, hej! hej!

Ani się spodziewasz, jakich psot narobisz z byle żartu.

Ale to, co się przytrafiło niedawno, niewiadomo do czego już podobne! Niestety na trzy wsie poszło z głupiego figla!

Lecę ja sobie prościuteńko po polu, tu i owdzie snoży poprzewracałem; starej gruszy, co siedzi na miedzy, by kwoka, gałęzi trochę pooblamywałem; z nieżżętego jeszcze zboża ziarna nieco wymłóciłem i nic więcej. Znudzilo mi się w końcu takie ciche latanie, bo świsty, huki i łomoty okrutnie lubię, więc nawróciłem na drogę, aby co ciekawszego napotkać.

Patrzę, stoją opodal cztery brzozy tak blisko jedna obok drugiej, że się prawie tulą do siebie... Podleciałem, gałęzie podgarnąłem i idę w taniec! Zaszumiło zrazu, zaszeleściły przestraszone listki, a potem słyszę skrzypi coś, trzeszczy... Co takiego?...—pomyślałem. Ale ciemność w stulonych drzewach gęsta była i nie dała mi rozeznąć coby to być mogło... Szarpnąłem jeszcze raz, drugi... trzeszczy! Nie gałęzie brzezinowe pewnikiem, bo one takie wiotkie, jak te warkocze dziewczęce rozpuszczone po kolana.

Aż mnie pali ciekawość! Więc jeszcze mocniej, jeszcze zwinniej okręciłem się około białych pni, ni to parobczak w oberku... I na raz, jak nie trzaśnie! Jak nie załomocze!... Zwaliło się coś ciężkiego, aż ziemia jęknęła. Lęk mnie zdjął... Zaniechałem już i brzóz, tylko parę garści liści oberwałem na pożegnanie i uciekłem.

Przed świtaniem chmurzyska nawaliły na niebo takich czarności, aż cały świat pociemniał, więc musiałem pozostać na miejscu, żeby te tumany rozegnać, bo to żniwa rozpoczęły się akurat i do deszczu w żaden sposób nie można było dopuścić...

Figle figłami, ale co święta ziemia zrodziła, tego trzeba sumiennie dopilnować—jeśli tylko czas jest—aby snoży nie zmarniały i nie porosły na słocie. A czas właśnie miałem, bo ze trzy dni temu burza wielka wyzłościła się tak, że z sił wyzbyta do szczętu przycupnęła kędyś za obłokami na odpoczywanie.

Wałęsam się więc po drodze, w nudzie i markotności i nawet tumanami kurzu nie mogę się zabawiać, jako że drogi jeszcze nie powysychały.

Kiedy się rozwidniło na dobre, nadarzyła się gratka starego dziada potarmosić. Szło to starocie, na kiju się podpierając i

torby dźwigając tak wypchane, że ich nawet poruszyć nie mogłem, tylko tę połataną płótniankę rwałem co sił starczy, to znów kapelusz słomiany targałem bez upamiętania.

Ale dziad cierpliwy był; szedł wytrwale, aż doszliśmy szamocząc się do miejsca, gdzie opodał gościńca stały owe cztery brzozy. Widzimy na jednej z nich gałąź odłamana wisi, ledwie się na korze trzymając.

— Wszelki duch!...—szepnął dziad; zatrzymał się i ręką. niby muchy z czoła ogania, choć ani jednej nie było, bo jakżeby się przy mnie ostać mogła?

Postał tak na drodze, jak wkopany, dużą chwilę, później podreptał prędko, ile mu sił starczyło na samo miejsce. Patrzę, na ziemi słup leży w trawie, przy jednym końcu rozpostarty poprzecznicą, przy drugim wykręcony, aż się próchno sypie

On to widać padając ową gałąź brzeziniową odłamał, bo po ciosanym pieńku, co się w ziemi ostał, poznać można, że pośrodku drzew stał.

Ja to wszystko zobaczyłem i nic.: A mój dziad jak nie zanieśie się płaczem wielkim!.. Myślałem, że mu o zdrową gałąź chodzi, a on zważył się na kolana, przypadł swemi włosami do poprzecznicy i aż się trząsł z żałości nad tem próchnem, wołając:

Jakże my bez Ciebie, Męko Święta, będziemy teraz?

Jakże! A toć ty nas wszystkich w opiece trzymałaś...

Wiek już my chodziliśmy do Ciebie w każdej złej godzinie... Jakże teraz ostaniemy sami bez Twego poratunku... O Jezu!—zawodzi—o Jezu!..

Rękami zczerniałe drzewo obejmuje; z oczów mu łzy cieką duże jak groch.

Nie mogłem patrzeć na to mazgajstwo. poleciałem w czyście pole wyprostować się po chłodnej nocy.

Coś około południa przywiąłem z ciekawości...

Widzę ćma narodu około moich brzózek. Jedni poklękali, inni stoją, —baby, rozumie się, beczą na całe gardło—o dzieci-
skach, co im się do kiecek czepiają—zapomniawszy.

Gromadka gospodarzy poważnych, szeroko w kroku stojących,—radzi, doradza głowami kiwając a wąsiska nastrzępiwszy.

— Dźwigniemy!.. Podeprzemy!..—uradzili.

I wzięli się migiem do roboty. Chłopaki wyrostki narzędzi ponanosili i dębczaków parę, żeby podporę zrobić;—więc mierzą, piłują, siekierami obciosują w skupieniu i z nabożeństwem wielkiem...

Aliści przyjechał jakiś taki guzikami i tasiemkami poobszywany, harmidru a krzyku wielkiego narobił, całej roboty zakazał i odjechał.

W narodzie szemranie zawzięte poszło od końca do końca.

— Jak on to powiedział? —pytano tych, co bliżej stali.

— Jak? A dyć wszyscy słyszeli jak! —.Póki stoi, to stoi, a jak się powali to naprawiać niełzia i nowego stawiać niełzia!“

— Niedoczekanie!

— Bodaj go jasności!..

— A jak naprawimy—to co?

— Całych trzech wsi nie wezmą!

— Juści nie wezmą! Co tu i gadać...

— Bierzmy się napowrót do roboty.

— Bierzmy!

— A żywo chłopcy ..

Zaczęli na nowo majstrować.

Ten znów przyjechał i znów zabronił, wrzeszcząc.

Ale nie pomogło jego krzyczenie, bo się naród zawziął.

Jak go tylko zakryłem tumanem kurzu,—bo do południa drogi powysychały w upale,—siekierzy załomotały na nowo, aż się rozlegało.

Tylko, że i on był zawzięty.. Powrócił trzecim razem i nie sam, ale z całą czeredą podobnych do niego.

Ci robotę chcieli chłopom odebrać; milczkiem podstąpili, — i tu stało się nieszczęście: — jeden z nich nastąpił na leżący słup!

Krzyk stał się okrutny! W narodzie zakotłowało. Siekiery podniosły się z pasją i jedna z nich ugrzęzła w głowie tego, jak chłopci krzyczeli, — „pogańskiego syna“. Wraz potem zatrzeszczało jakby kto groch młócił, ogieńkami zabłysło, obłoczki dymu stanęły w powietrzu, — a trzech chłopów zwało się na ziemię.

Obrzydzenie mnie wzięło na to wszystko, bo jęki leżących, a lament kobiet i dzieci był nie do wytrzymania, do tego jeszcze w powietrzu rozszedł się brzydki, mdły zapach. Dmuchałem na tę wstrętność i pogałem, gdzie oczy poniosą!

Co się tam potem działo nie wiem, bo dopiero w jakie pięć tygodni straszna burza, taka z piorunami, przywołała mnie w to samo miejsce.

Oj, szumieliśmy tej nocy bez upamiętania! A targaliśmy, a rozwalali wszystko, co się tylko dało.

Nie wiecie wy, starowiny, — mówił dalej wiatr — co się dzieje w nizinach jak burza spadnie. Dla was ona nie straszna, żeby nie wiedzieć jak się rozkiełznała. Was nijak szarpnąć się nie da! Nawet sam piorun wam nie poradzi... Rysę jaką taką w lodowisku wyskubie i tyła!.. Mocne wy, twarde, nieprzystępne... a wielkaśne... aj wielkaśne!

Ale tam, na dole, jak my z piorunami przy błyskawicach zaczniemy hasać, to jest co roznosić!..

Zboża tratujemy, strzechy zrywamy, las łamiemy jak trzcinę, rzeki tak ponalewamy deszczowemi potokami, że z brzegów występują i lecą jak oszalałe, znosząc wszystko, co się nadarzy — martwe, czy żywe!

Sam człowiek nie ostoi się w taką godzinę, nie z jednego topielec się robi, a inny do cna rozum zatraci, — zwłaszcza jeśli sam gdzie siedzi.

A jak do tego wszystkiego chmury gradu w podółkach przynoszę, a to czyni się istne piekło! Wszystkie małe główki czy to ptasie, czy zwierzackie, grad porozwala, a i większe nie

zawsze wytrzymają! Gina niebożątka jeśli gdzie w bliskości schronienie się nie znajdzie.

Otóż w pięć, czy sześć tygodni po rozprawie pod brzoza-
mi, błyskawica pięknie jaśniejąca napisała mi na niebie, abym
w tamte strony przywiał co tchu.

Pędzę.. Przyleciałem, a tu już chmury z fartuszków sypią
gradzinami, — ale że noc stała w powietrzu więc wszystko ży-
jące pod dachami siedziało. Nie udało się urządzić żadnej go-
nitwy, żadnego pościgu za żyjącem stworzeniem.

Miotalem kulki lodowe na wsze strony, aż liści na drze-
wach nie stało... ale to tylko szumi głucho, ochoty zaś dziarskiej
nie dodaje.. Dopiero kiedy sobie przypomniałem wielkie szy-
by dworskie, — zakotłowałem się z radości! Nabrałem gradzin
pełne pazuchy i wieje! Tu się dopiero zabawiłem! Szkło posy-
pało się i zadźwięczało tak prawie jak to granie, kiedy panien-
ki pokładą białe rączki na klawiszach.

Nie długo jednak uciecha trwała.. nie wiele kulek lodo-
wych w niebie przyrychtowano. Za chwilę już tylko ulewa sma-
gała, jak fornał biczyskiem, ale pioruny biły setnie i grzmiało
tak jakby cała fornalka z cugowemi także przez most się tara-
bańła!

I w taką to porę, patrzę, aż tu ze dworu trzech, czy czte-
rech ludzi wyszło. Jeden z nich trzymał pod płaszczem latar-
kę, którą mu zaraz, w mig zgasilem. na co niewielką zwrócili
uwagę i szli dalej.

Ciekawość mnie zdjęła gdzie i po co oni się wybrali w ta-
ką szumiącą nawałnicę?

I co się okazało?

Sposobniejszej pory nie mogli sobie znaleźć na to, aby ów
zwalony przezemnie słup pomiędzy brzozaami napowrót postawić

Śmiać mi się z nich okrutnie chciało. Ja gdybym nie ten
dwór, ale byle jaką chałupinę miał, to aniby nosa nie poka-
zał na taką pluchę... A ci szli jakby nigdy nic!

Tak im nadokuczałem za tę ich głupotę, że i nie opowie-
dzieć wszystkiego!

W same oczy deszczem im rzucałem; płaszcami targalem; wyłem w same uszy; to znów w piersi parłem do zatamowania tchu! A oni nic! Szli i szli, świecąc białymi czołami, bo czapki zaraz jak jeno za próg przestąpili pozrywałem im i w taką ciemność rzuciłem, że się nawet nie pokusili szukać.

Do brzóz z niemalym trudem doszli i przy błyskawicy robotę rozpoczęli. Nabiedzili się, oj, nabiedzili! Ja im przeszkadzałem, że zbyt ków, ile mogłem, Sznury, co je z sobą przynieśli, zsuwały się od mokrości i nijak nie chciały ciężaru zdzierzyć; błyskawice nie ciągle przyświecały, więc omackiem całą sprawa szła; a najtrudniejsza rzecz była z rękami: za mało było tych rąk na taką wagę i pozdierały się okrutnie.

Czy nakaz mieli, czy co — nie wiedzieć — ale chociaż im się we wnętrzu cosik nadrywało, postawili jednak na swoim

Na co się to wszystko zdało ani dociec!.. Ot, zawziętość jakaś i tyle...

Czy to oni, tam na dole, mało mają drzew prościutko do nieba stojących? I to jakich drzew!.. zdrowych, mocnych! wysokich jak ta wieża kościelna, a rozgałęzionych w sobie aż się oczy radują. Im tego nie dosyć, próchno ma stać także i basta!

Zrobili swoje i poszli, a gdy ranek nastał, dziad, ten sam, co i wówczas, skądś się wziął, jakby z pod ziemi wyrósł, a zobaczywszy co się stało omal rozumu nie postradał. Śmiało się to i płakało na przemiany z wielkiego uradowania; wreszcie buchnął na kolana, podnóże ramionami objął, głowę swoją siwą, tak samo jak wtedy, do pnia przytulił i szepce:

— Podniosłaś się Męko Najświętsza... Podniosłaś! I zostaniesz między nami i będziesz nam opieką w utrapieniu a pociechą w złej godzinie... Będziesz swoje święte ramiona nad nami rozpościerać... Będziesz nam wybawieniem od wszystkiego złego... Amen.

Dziad był taki rozradowany, że i mnie się wesoło zrobiło, więc tarzałem się z uciechy, po trawie, co się krągiem pod brzozami rozesłała, naginałem ją to w tę, to w ową stronę, żeby mi-gołała złociście, kładąc po sobie puszysty kwiat.

Później, tak jak i wtenczas, narodu ćma przywalała... poklękali, w piersi się bili, szeptali, a wnet i ten świecący guzikami przyjechał i znów rękami wymachując złościł się i krzyczał:

— Kto? Co? Kiedy?..

Ale mu nikt powiedzieć nie umiał—kto i kiedy.—Nikt, nic nie widział.

Ja mu w same uszy świstałem jak się stało, ale czy to taki zrozumie! Kołnierz od płaszcza postawił, aby nic nie słyszeć; nawymyślał nie wiedzieć komu, szablą naszczykał i zasępiony odjechał, nie dowiedziawszy się niczego.

Naród odetchnął...

I czy zmówili się ludzie, czy jak tam było, — dość, — że wszyscy razem w jeden głos, jak w organ kościelny, uderzyli w jedną okrutnie głośną pieśń...

Ja się tam dosyć nasłucham własnego świstu po świecie latając, nie bardzo mi się chciało słuchać owego śpiewania, a że i słońce wyszło z za lasu, więc nogi wziąłem za pas, uciekłem i... przywiałem tutaj, do was na odpocznienie...

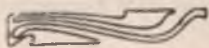
Czytanie skończyło się. Białe kartki schowane zostały do bocznej kieszeni. Skupione milczenie długo trwało w kącie za oszkloną szafką.

W salce było gorąco. Powietrze przesycone pachnidłami i oddechami czyniło się coraz więcej duszne. Śmiech nie umilkął. Bawiono się doskonale; wszystkie stoliki spoufaliły się do tego stopnia, że nie tylko spojrzenia, lecz także i żarty przerzucano sobie nawzajem.

Zabawa przerwana została na chwilę przez wejście nowych, zapóźnionych gości, którzy zapomnieli przymknąć drzwi.

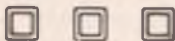
Świeżość jaka wpłynęła do kawiarnianego zaduchu, świeżość bulwaru pachnąca drzewami, ocknęła zadumę popodpieranych głów,—lśniących barwami kasztanów i jasnych kądzieli—lecz nie rozwiąła zastłuchania w dalekie, rozległe, nigdy nie milknące echa.

Z. P.

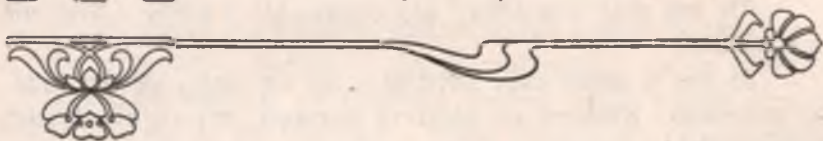




DUSZA TWOJA „W GWIAZDACH CZYTA”^(*)



Ceniom Marji Konopnickiej.



Dusza Twoja—„w gwiazdach” czyta,
Prometejskiej myśli dreszczem
Dusza Twoja w gwiazdach „czyta”,
Losy ziemi z Niebem splata
W harmonijny ton, skrzydlata,
Wszechwidząca—okiem wieszczem.—

Rozwinęłaś lot Twych skrzydeł
Hen, daleko, w słońc bezbrzeża wieczyste,
Rozwinęłaś lot Twych skrzydeł,
W pozaziemskie sfery bytu—gwiazdziste“,—
I ogarniasz te padoły—
Żarem Serca, okiem Ducha,
Z pieśni polskiej Archanioły! —
A Twej lutni naród słucha,
Bierze sobie ją w pierś żywą
Na dalekich dni przędzywo.

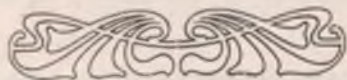
Wzbiłaś lot swój w szlaki górne natchnienia,
Iskrę życia wykrzesłaś—z Cierpienia,
Z mąk Udręki łzawych Ziemi Poniży,
Z ducha Mogił. Serc ofiary, a Krzyży.

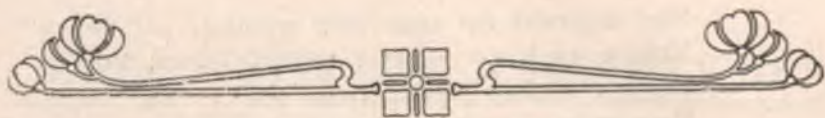
^{*)} W hołdzie Marji Konopnickiej za Jej wiersz: „Dusza moja w gwiazdach czyta”.

Stąd dojrzałaś ten szlak bytu wysoki,
Którym wiedzie w rozświt ducha—chrzest Boży,
Dźwigni wieków stawia trwałe opoki;
Drogowskazy wśród życiowych bezdroży,
Gdzie nad ziemi tumaniące pomroki
Twórczem „stań się” wyprowadza dłoń boża—
Duchy Światła: Jasnowldze, Proroki,
Na Miłości, Wiar, Nadziei przestworza.

Stąd— „runiczne” zdarzeń znaki
Czytelny Ci się stały,
Wyolbrzymiał w duchu Twoim
Tajni ogniów świat wspaniały, — —
I pocuciem Prawdy wieszczem
Wśród gwiazd dusza Twoja drgnęła,
Górnych natchnień bożym dreszczem
Uniesiona, zapłonęła
Światłem Wiedzy, rozgwieżdżonem
Ponad Szczytów Myśli tronem,—
Kędy wiedzie szlak tych ścieży,
Jakim ziemia— „z posad” bieży—
W ognisk ducha twórczym biegu—bez końca,
„W ruch potężny, w ruch nowy,—do słońca,
— — Do słońca!

M. Cz. Przewóska-Helia.





❀ WISŁA ❀ i serce polskie.

Przypatrzcie się, jak płynie Wisła w Królestwie. Czy wam ona nie przypomina życia uczuciowego duszy polskiej?

Zawsze mętna, toczy się leniwie i szuka kierunku, jakby go improwizowała.

Niespodzianie wzbierze, jak kataklizm, to znów płytką—suszy mielizny w słońcu.

Brzegi są dla niej przesądem lub igraszką, potrzebą poetycką pejzażu lub nienawistnym uciskiem, z którym stale się walczy.

Romantyczna, cicha woda, a tak brzegi rwie.

Igrając ze szkarpami, pracuje. A rezultatem pracy — piasek i muł.

Padają w nurty uprawne pracą pokoleń sady i grzędy, ustępuje przed nią myśl zabiegliwa gospodarzy, którzy mieli w niej niegdyś arterję swoich stosunków handlowych.

Płynie święta fala, jak przed wiekami, coraz smutniejsza w swym romantyzmie, im mniej użyteczna.

Nikt nie przyłożył ręki, aby pogłębić jej łożysko. Kapryśnie zmienia kierunek, a tam, gdzie przeszła, tylko piasek pustynny.

Gdzie wzbierze niespodzianie, szeroka jest, jak jezioro,—zalewa pola, sady i łąki.

A nie było wylewu, aby dziennikarz nie widział gdzieś płynącej kołyski z niemowlęciem... Taka jest tradycja.

Taki widzialny szczyt dramatu. Ale dramat właściwy jest większy, jeno go się nie liczy, bo zwykły.

Święty żywioł i tak dramatycznie poetycki!

Płynie wtedy nieobjęta, aż wydęta, nabrzmiąta od gliny, która jak krew tędy spływa. Ledwo spostrzec można, że się toczy po swej płaszczyźnie, straszna swoją nieobliczalnością.

Zwłaszcza, gdy się to dzieje niewiadomo skąd, w dzień pogołny, widno z jakichś tajemnych dopustów. Zwłaszcza, gdy pałający zorzą zachód prześwieca przez otwory ruin starego pałacu na tamtym brzegu.

A potem, w czas powszedni, w czas służby, Wisła znowu pokorna.

Ciągła rozmaitość: — zmienione łożysko i brzegi nie te same. Na galarze płyną żydzi z towarem, ale woda płytka, więc płyną, przystając, bez terminu.

„Hej, flisacza dziatwo!”

Jest w tem wiele poezji rodzimej, nie dającej się porównać z owymi widokami rzek zachodnio-europejskich, ujętych w karby kamiennego kanału — może jeszcze z łożyskiem betonowaniem!

Tutaj nic sztucznego: romantyczna folga dowolności, wszystko improwizowane, żadnego wymuszenia i precyzji.

Wisła kochana! Taka na pozór ludowa, wszystkim
dostępna, a tak odosobniona. Taka dostojna, a tak fig-
larna. Taka rozlewna, a tak płytka Taka poetycka, a
tyle w niej łez i krzywd.

Obraz żywiołu puszczonego samopas!
Niczem romantyczne serce polskie.

Zygmunt Wasilewski.

Lwów, 9 stycznia 1910 r.



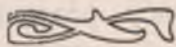


Trzeba ocykać się codziennie o świecie
I łowcą czasu być, co wciąż ucieka,
I mówić: sztuka długa, krótkie życie.
I podnieść trumny niełitojonej wieka,
I oczy nasze, smiercią zasnucone,
Weselić drogą, która duchy czeka
Na wiecznych niebios szlaki nieskończone.

Trzeba mieć serce w miarę, obojętne
Życie tak pełne grzechu o, pielgrzymy!
A ciało zawsze do podróży chętne,
Domimo nocy i pomimo zimy:
Czemże cierpienie jest i wiek niedoli
Kiedy świtaniem po gwiazdach spojrzymy,
Śasnących w słońca bladej aureoli!

Przejmą każdy dzień przywitać twarzą,
Jedyna mądrość jest i port jedyny.
Niech się wypełnia więc, niech się przemarsz
Wszystkie sny gorzkie, zgryzoty godziny
I krótkie chwile przyjaźniejszej sali,
Abyśmy legli bez żalu i winy
W grobowcach, któreśmy sami stawiali.

Jan Mieczysław





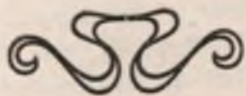
Pare myśli.

Człowiek każdego środowiska warstwy społecznej — posiada własną swoistą etykę. Ze względu na stopień posiadany, całą ludzkość należałoby podzielić na trzy grupy, każdorazowo w danym środowisku — warstwie społecznej. 1-o Nieetyczna — grupa zawsze niepominięta liczna. 2-o Półetyczni, szara grupa średniej liczebności tak zwanej inteligencji poszczególnych warstw. 3-o Etyczni — grupa we wszystkich warstwach niezmiennie ograniczona pod względem liczebności, O pierwszej grupie niema nic do powiedzenia. Charakterystyką drugiej — to etyka na pokaz nie wyczuwana i nieobowiązująca siebie ze względu na siebie i na drugich przy braku kontroli. Trzecią grupę ze względu na indywidua niezaprzeczenie etyczne, jednakże jednostronne — stara nie upadła arystokracja, należałoby podzielić na dwie podgrupy: a) subiektywną na podstawie subtelności jednostronnie wyrobionych i b) obiektywną — wszechstronną.

Obejmując umysłem tę niebotyczną drabinę o niekończoności szczebli, na których każda jednostka odnajduje swoją etykę, — zrozumiemy, że etyka w ustach człowieka XX wieku, to ni mniej, ni więcej tylko owo rycerskie średniowieczne słowo honoru, frazes używany dla podkreślenia rzekomej prawości zarówno w szynkowni, jak w pałacach. Ale splamienie honoru, przynajmniej w pewnych warstwach prowadziło do pojedynków. A dla zdeptanej etyki, czy mamy równoważnik?

Pojedynkami jako absurdem—spuścizną barbarzyńską dzikiego, czysty intelekt ludzki pogardza. Całe masy inteligencji kulturalniejszej uznają barbarzyńskość tego zwyczaju, a życie bez odpowiedniego ekwiwalentu, zapewniającego wymiar sprawiedliwości za czyny nie objęte lub nie kwalifikujące się pod paragrafy kodeksu, domaga się gwałtem Trybunału Etycznego. Lecz jeżeli dla *już* oddawna nie wyczuwanego honoru rycerskiego, służyła zmurszała instytucja pojedynków, to nic dziwnego, że dla tak mało *jeszcze* wyczuwanego honoru etycznego—etyki, ludzkość nie znalazła instytucji odpowiedniej. Jesteśmy w okresie przełomowym starych i nowych pojęć. A jak długo on potrwa...

T. Ch.





„KUPIEC WENECKI“

== SZEKSPIRA ==

i jego myśl przewodnia

Jeżeli spierano się czas długi o autorstwo dzieł Szekspira to „*Kupiec Wenecki*”—słuszniej od wielu innych utworów tego poety, mógł dostarczyć motywów do przypisania autorstwa ich wielkiemu mężowi stanu i głębokiemu myślicielowi—Bakonowi z Verulamu. „*Kupiec Wenecki*” bowiem po za swą wartością literacką, jest niezwykle subtelną krytyką ówczesnych instytucji społecznych,—a właściwie sądownictwa,—krytyką stosowania przezeń praw krajowych,—krytyką jego formalizmu;—jest zarazem wskazówką, w jakim kierunku wszelkie prawo tłumaczyć należy; wskazówką, że prawa istnieją dla dobra ogółu,—a nie dla poszczególnych jednostek, któreby je na swoją wyłączną korzyść obracać chciały—z krzywdą innych obywateli kraju.

Bo przypomnijmy sobie treść dramatu. Kupiec Wenecki Antonio, chcąc dopomóc przyjacielowi,—a nie mając na razie gotowizny, zapożycza się u żyda Szyloka, który wymaga, ażeby na skrypcie był położony warunek, że w razie uchybienia w terminie wypłaty, będzie miał prawo wyciąć funt ciała dłużnika. Antonio podpisuje ten skrypt. Przychodzi termin. Okręty Antonja wysłane po towar nie powróciły na czas do Wenecji — i dług w terminie nie został zaspokojony. Wierzyciel żąda exekucji, stosownie do skryptu. Sąd Wenecki z dozą na czele przyznaje słuszność żądaniu wierzyciela, który też w obecności

najwyższego sądu rzeczypospolitej,—przystępuje do exekucji. Wykonanie wycięcia funta ciała, w miejscu wybranem przez wierzyciela, zagraża życiu dłużnika,—ale prawo jest wyraźne: *dura lex—sed lex*.

W przeciwieństwie do tego formalistycznego załatwiania się z prawem obowiązującym występuje zasada—dobra ogólnego. Jeżeli prawa Wenecji zabezpieczają mienie,—troszczą się również o samo istnienie obywateli swoich. Targnięcie się więc na to istnienie, jest zbrodnią,—którą prawo karze.—Nie wolno exekwować należności swej w sposób, który zagraża życiu dłużnika, w sposób, który pozbawia rzeczpospolitą jej obywateli.

Zasada ta reprezentowana przez największą ówczesną powagę w rzeczach prawa uczonego Bellarja z Padwy, w imieniu którego występuje wobec doży i sądu szlachetna niewiasta,—w roli młodego doktora praw—Baltazara. Przyznając słuszność żądaniu Szyloka,—powołuje się nadto jeszcze na inne prawo obowiązujące w Wenecji, które powiada: ...że... „gdyby kiedy było dowiedzionem

cudzoziemcowi, że wprost lub ubocznie godził na życie którego krajowca, naówczas strona przeciw której działał ma w posiadanie otrzymać połowę jego fortuny; druga jej połowa na skarb przechodzi,—życie zaś innego zależeć będzie jedynie od łaski samego Doży.

W takiej kategorii (zwraca się do Szyloka) ty właśnie jesteś; widno bowiem jawnie z tego co zaśzło, żeś uboczną drogą i wprost nastawał na życie Antonia, za co ulegasz rygorowi prawa“...

Występuje tu autor—pod przenośnią rozumie się - przeciw bezwzględności exekucyjnej wierzycieli, rujnującej zupełnie dłużników, zabierającej często całe mienie dłużnika dla zaspokojenia długu, stanowiącego niewielką część zaledwie wartości mienia, jakiego pozbawia tegoż dłużnika, ściślej przeciw wywłaszczeniom nieruchomości. Występuje on tu w tej doniosłej sprawie jeszcze przed 300 laty.

Dzisiejsze nasze prawodawstwa, pomimo doskonalenia się ciągłego,—dalekie są jeszcze od doskonałości. Tem mniej doskonałymi były one za czasów Szekspira. Równość wobec prawa nie istniała wówczas,—nawet w teorii. Zależność nie tylko polityczna, ale i ekonomiczna, jednych warstw ludności od drugich,—poddanie—i nawet niewolnictwo,—uznane powszechnie za normalny ustrój społeczny, wyciskały swoje piętno na wszystkich urządzeniach społecznych; odbijały się stale w stosunku między pracodawcą i pracownikiem,—a równorzędnie i analogicznie między wierzycielem a dłużnikiem. Jednostki ekonomicznie słabsze i wydziedziczone, nie mając należytej opieki prawnej, oddane były na łaskę i niełaskę tych, od których w zależności majątkowej pozostawały.

Tę nieprawidłowość w ustroju społecznym widziały światlejsze umysły; podniosłejsze serca protestowały przeciw takiemu stanowi rzeczy. Ale nowe pojęcia w owej epoce uchodziły za bardzo śmiałe,—rewolucyjne nawet,—skoro musiały być omawiane tak ostrożnie,—i w takich odległych przenośniach, jak to widzimy w „Kupcu Weneckim”, gdzie nawet sama akcja przeniesioną być musiała niemal do antypodów (ówczesnej społeczności europejskiej). Zreformowanie istniejącego w owe czasy prawodawstwa wedle tych nowych pojęć, jakie powstały w umysłach ludzi przodujących i dalej patrzących, zdawało się im jeszcze niemożliwymi. Wystąpienie przeciw uprzywilejowanym, groziło burzą, któraby gromy na głowy reformatorów przedewszystkiem sprowadziła. Należało tedy przedewszystkiem do reform owych przygotować opinię,—a zadanie to spełnić miał „Kupiec Wenecki”.

Arcydzieło to i dziś jeszcze nie przeżyło się, i w dalszym ciągu spełniać może i powinno swoje posłannictwo. Pomimo bowiem ulepszeń w prawodawstwie, daleko jeszcze stoimy od tych desideratów, ku którym Szekspir oczy nasze skierował. Czy formalizm nie został jeszcze w całości usunięty z instytucji sądowych; zadośćuczynienie słusznym żądaniom jednej strony, często dokonywa się z pominięciem praw, równie słusznym, strony drugiej; egzekucje sądowe, zwłaszcza wyłączenia nieruchomości, dokonywane bywają nierzadko w taki

sposób, że równają się konfiskacie całego mienia dłużnika,—co Szekspir obrazowo przedstawił w upuszczeniu krwi dłużnika (i w następstwie jego śmierci)—dla oddania jed. ego jedynego funta ciała, które ów dłużnik oddać się zobowiązał. *Czyniąc zadość sprawiedliwości względem jednej strony, dopuszczamy się niesprawiedliwości względem drugiej.*

Ale nie tu kończy się myśl przewodnia dramatu. Nie tylko bowiem znajdujemy w nim krytykę istniejącego porządku rzeczy; ale nadto i wskazówki, w jakim kierunku udoskonalać je trzeba. Przez usta szlachetnej Porcyi wypowiedziane są zasady, na których *ważyc się winny obustronne interesa w umyśle sędziego*, ażeby *summum jus* nie było zarazem *summae iniuria*. Każdy ma prawo upominać się o swoje; ale wywierający sprawiedliwość winni zważyć na szali interesy i prawa jednej i drugiej strony, i nie poświęcać jednej strony, dla zadośćuczynienia drugiej,—pamiętając, że **obie one mają równe prawo do ich opieki.**

Widzimy tu jeszcze przestrożę, że zbyt szybki pośpiech ekzekucji nie przynosi realnego pożytku żadnej ze stron,—i może jedynie nasycić zemstę tego, co ją sobie uplanował z góry, że chwilowe przesilenie w interesie, wywołane często plotką, czy wieścią niesprawdzoną,—nie powinno i nie może być brane za podstawę do rygorów, prowadzących do niechybnej ruiny. Miłość dobra powszechnego, uczucia prawdziwie obywatelskie, nakazują ochraniać każde istnienie współobywatela,—nie tylko fizyczne, ale i ekonomiczne. Działanie przeciwne temu, Szekspir mianuje „godzenie na życie współobywatela”.

Ileż istnień, ile dóbr materialnych ocalałoby krajowi gdyby ogół choć w części rozumiał Szekspira! Ileżby mniej też pokrzywdzonych mieli sędziowie na swem sumieniu, gdyby znali „Kupca Weneckiego”.

Z tego względu „Kupiec Wenecki” nadaje się i dziś jeszcze do głębokich studjów, zarówno prawodawców jak i prawników,—zarówno prawników, jak ekonomistów,—zarówno ekonomistów jak każdego dbającego o dobro społeczne obywatela. *Jest to, krytyka nie tylko niedoskonałości praw obowiązujących, ale*

także potępienie egoizmu, zawiści i chciwości; jest to zarazem pochodnia, mająca świecić pracom prawodawczym przyszłości, budzić szlachetne dążenia w ludziach, a tem samem przyczyniać się do prawdziwej cywilizacji, do udoskonalenia stosunków pomiędzy ludźmi.

Jeżeli nieśmiertelne dzieła Szekspira godne są tego, aby znane były inteligentnemu ogółowi,—to „Kupiec Wenecki” zajmując tu winien jedno z miejsc naczelnych. Doniosłość jako i znaczenie przechodzi bowiem po za dziedzinę artystyczną, po za dziedzinę piękną w literaturze. Sięgała aż w głąb kwestji społecznych, w głąb zagadnień, dotąd należycie nie rozwiązanych a stanowiących jedną z podstaw wzajemnych stosunków obywateli,—decydujących nieraz o dobrobycie, nie tylko jednostek, ale i całych grup społecznych;—podnosi etyczną stronę tych stosunków, i przypomina o obowiązku prawa—zaopiekowania się słabszymi, w razie konfliktu ich interesów z możniejszymi; przypomina wreszcie o prawie moralnem i—wyższem nad prawo pisane—o obowiązku solidarności społecznej.

Szekspir poszedł tu tak daleko, że nie chciał na współobywateli-współrodaków rzucać nawet podejrzenia, że byliby zdolni do czynów, jakich przedstawicielem był Szylok. Wykazał, że to czynić może cudzoziemiec, nie-chrześcijanin, a wróg społeczeństwa, wśród którego żyje, korzystając z tego, że może na jednym z jego członków wyrzucić zemstę swoją.

Te myśli wypowiedział Szekspir przed 300 laty: Ale i dziś jeszcze często bardzo przypominać je potrzeba.

H. Wierciński.





TADEUSZ NALEPIŃSKI

Z POEZJI TATRZAŃSKICH.



.
Rozlał się szafir na kryształne tonie,
zaproszył nagle szmaragdów powierzchnię —
już blisko przełęcz — mroźna mgła wnet zionie
i w cieniach modrych nad doliną pierzchnie.
Z rozpiętej grani głaz zestrzelił zły —
dwie tu przepaści — dookoła mgły.

Śnieżnych pól zgasły na stawie upiory,
po raz ostatni zmywszy senne twarze
w mogile wód. Ku niebu dziwotwory
prężą się w wichrów złowrogim pogwarze.
Dolina znika z przed oczu, jak myt —
przyleciał obłok, ściał Łomnicy szczyt.

Pustka. Schodzimy w czeluść już bezedna.
Nie przejrzy słońce na lipcowe śniegi...
Czai się dusza zmarznięta i biedna,
siekiera ryje gdzieś na żlebie ściegi —
nikt tu przed nami — zagubiona perć —
jeśli padniemy — przyjdzie biała śmierć...

.
Tatry, 1910

NIEZNANEJ.

Przyjdź!.. choć powiedły snów różane gaje,
choć zapomniałem ostatnią pieśczętę,
choć mi ostatnie rozwiały się raje,
przecie w otchłani jęrzą gwiazdy złote ...
dno czarnych stawów kołysze tęsknotę...

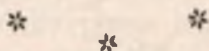
Przyjdź... choć dziś jestem tylko lichym karłem,
zebrzącym wejścia w nicości podwoje,
choć serca strzępy z piersi mej wydarłem,
przecie odszuka mnie westchnienie twoje,
przecie w twych oczach oczy me ukoję...

Przyjdź!... dziś cię śniłem pogrzebowym dzwonem,
rozkołysanym echem martwych dolin —
w pustkowiu górskim i osieroconem
przeczułem wielkie święto mych wyzwolin
i chciałem płakać martwym płaczem dolin...

Przyjdź!.. w skalnych złomach wykułem ci grootę,
tam w ciszy górskiej tylko potok płacze —
przyjdź!.. wierzę w ciebie, ostatnią tęsknotę,
jak w białe lilie, których nie zobaczę —
przyjdź!.. za tve oczy wszystko ci przebaczę...

.
Otom w noc jasną wspiał się na szczyt szczytów
i rozpałilem ostatnią ofiarę —
tysiąc ołtarzy patrzyło z błękitów
na tę żertwienną ogni moich wiare —
.
dla ciebie palę ostatnią ofiarę.

Tatry, 1905.



— Trza im dobrze popaść—rzekł furman Tomasz, odwracając się z kozła ku mnie—piachy, że niech ręka Boska broni! Niech choć dwie godziny południem postoją w stajni.

Westchnęłam. Co tu robić w brudnem miasteczku przez dwie godziny?

Stanęliśmy przed zajazdem, Tomasz począł odpręgać konie. Mnie głód dokuczał, więc wyjęłam z kosza zapasy podrózne, ale nie byłam w stanie jeść, oddychając wyziewami zajazdu i wstrętnie brudnego placu.

— Tomasz, nagładaj tu na powóz, ja pójde trochę za miasteczko. Ot tam, na wygon.

— O, to trza postawić straż! Tu jest taki człowiek... daje mu się złotówkę... ja go znam. On tu się zawsze kręci przy zajeździe.

— Straż przy powozie?

— Bo tu są takie łobuzy, że Jezu ratuj! O, idzie, i dzie! Walenty, popilnujcie nam powozu!

— To niby... będzie mi się należała złotówka—rzekł Walenty, obdartus na krzywych nogach, z włosami prze-rośniętymi słomą.

Dałam złotówkę i poszłam ku wygonowi aleją wysadzaną nawpół już powycinanemi i poniszczonemi drzewami. Niedaleko, za rowem przydrożnym stała kapliczka

ka gęsto obrosnięta tarniną, głogiem i dzikim bzem. Nie chcąc by mię z drogi widziano jedzącą, ukryłam się za kapliczką, w gęstwinie krzewów, usiadłszy na kupie dawno leżącego tam gruzu, obrosniętego już trawą i zieliskiem.

Zaczęłam spożywać mój podróży obiad, gdy usłyszałam zmieszane głosy gromady dzieci. Potem wyraźnie doszły mi całe zdania, wykrzykniki, brutalne słowa wypowiedziane cynicznie. . Wreszcie gdy dzieci były już blisko, mogłam usłyszeć całą rozmowę:

— Złapali go!

. — Bo głupi!

— Jużci głupi! Jenszy i nakradnie się i nazabija, a nic mu!

— Trza mu było zwąchać się ze strażnikami, a nie, to ich wysłać do Abrahama na piwo! A bo to jeden strażnik już się nakrył nogami!

--- Ha, ha, ha!

— No chłopcy, do roboty! Antek, ty będziesz dzisiaj burżujem!

— Zawsze mię na burżuja wystrychniecie!—skarżył się Antek.—Ja się takim sposobem niczego nie nauczę!

— Milcz, pókiś cały! Ty wiesz, że ze mną niema żartów! Pójdiesz aż pod tamtą topolę, a potem zawrócisz i będziesz se szedł, niby to że zima, z rękami w kieszeniach. A ten *palarus* wsadź sobie w boczną kieszeń w podszewce!

Wstałam zdziwiona, nie rozumiejąc o co chodzi, zaintrygowana dziwną rozmową dzieci. Ujrzałam jak nagle chłopcy — gdyż to byli sami chłopcy — rozsypali się na wszystkie strony z niesłychanym pośpiechem i zrećnością, kryjąc się w rowie, przypadłszy do ziemi.

Po chwili Antek, pasowany na burżuja, pokazał się w alei. Szedł prędko lecz spokojnie, przybierając pozory obojętności i zamyślenia.

Nie pojmowałam o co chodzi, lecz raptem stało się coś tak nagłego a zarazem tak wymownego, że cały obraz stał mi się jasnym.

— Ręce do góry!

Sześciu chłopców otaczało Antka, przykładając mu do piersi drewniane, z wygiętej gałęzi zrobione brownin-gi. Antek w jednej chwili powalonym został.

— Nie strzelać! — zabrzmiała komenda — a to zaraz wypadną stróże i strażniki! Broni się burżuj, to mu wsadzić nóż pod łopatkę!

— Ratunku, ratunku! — krzyczał Antek.

— A, bronisz się? Chcesz nam naprowadzić policjantów? Bierzcie się do niego chłopcy!

Antek rękami i nogami się bronił, lecz w oka mgnienie został obezwładniony. Zawiązano mu usta, krzyczeć już nie mógł. *Palarus* był oddawna w rękach towarzyszy.

— Policja! — zawołał nagle komenderujący. — Strzelać tylko w nagłej potrzebie!

W jednej chwili chłopcy rozbiegli się i zniknęli, jak kamfora.

Antek wstał z ziemi i usiłował uwolnić się od brudnej chustki, którą miał zawiązane usta.

— Zaraza! — mruczał przez zęby. — Poczekaj ty psie przekłety! Ja se potrafię znaleźć inny nóż niż ten, którym serca mego szukałeś! Już ja ci to odwdzięczę! Chce ci się być naczelnikiem!.. Napchałeś mi w gębę gałganów... będziesz ty przezemnie ziemię gryzł!..

Klnąc i odgrażając się poszedł w kierunku m.asteczka.

Ośłupienie, zgroza przykuły mię do miejsca. Zapomniałam o moim głodzie, zapomniałam gdzie się znajduję i po co tu przyszłam. Posławszy wzrok w dal, myślałam z bólem, ze wstydem, z przerażeniem o przyszłości naszej. Wzrokiem wyobraźni szukałam, skąd może przyjść ratunek wobec tych dzieci, których ideałem i dążeniem jest zbrodnia. Szukałam napróżno. Na horyzoncie nie było nic... z mroków przyszłości nie wyłaniało się żadne światło.

Co ma czynić społeczeństwo, któremu grozi zupełne zdżiczenie klas ludowych?

Gdym wróciła do mego powozu właściciel zajazdu stanął u drzwiczek. Zapłaciwszy rachunek zapytałam:

— Czy w miasteczku jest szkoła?

Wzruszył ramionami, milczał chwilę, a potem, odchodząc, powiedział z pogardliwym wyrazem ust:

— Boże odpuść!

Zofja Kowerska.



Nim słońce wzejdzie...



*Sam Bóg zgasił nad nami pochodnię
I na mogiły strząsnął jej popioły.
Idziem, jak iść bezdomne przechodnie
Z świadkami czoły.
A stopy naszej zasypuje ślady
Wicher zagłady..*

M. Konopnicka.

Stałam w oknie z czołem opartem o szybę i patrzyłam jak kona cichy dzień jesienny. Poprzez nawpół obnażone konary drzew, przesączała się purpura zorzy wieczornej; błakający się chwilami lekki pośmuch wiatru, strącał liście sumaków i kasztanów, które jak wielkie, krwawe łzy, z cichym szmerem, spadały na ziemię.

W obszernym pokoju już zmrok czał się po kątach. Cicho było w całym mieszkaniu, tylko z sąsiedniego pokoju dobiegał skrzypiący oddech, jakichś bardzo spracowanych piersi, astmatycznym kaszlem chwilami przerywany. Nagle, uszy moje uderzył stłumiony jęk fortepianu. Obejrzałam się. Niewiadomo kiedy, przesunęła się przez pokój, lekko jak cień, drobna postać dziewczęca i teraz pochylona, jakby ramiona jej przytłaczał jakiś niewidzialny ciężar, siedziała przy fortepianie, błędząc palcami po klawiszach. Niedługo, rozpierzchłe akordy jęły łączyć się, tworzyć melodię i popłynęła nuta znanej dumki ukraińskiej.

Wątlý głosik, nabrzmiały łzami, cicho, cichutko śpiewać począł:

„Lita moi młodyje darmo propadają!”

„Oczy płaczą, husty browi od witrz linyają!”.

Zacisnęłam zęby. „Boże, Boże, czemu to dziecko moją i swoją duszę rwie na strzępy tą muzyką!”

„Tiażko myni syrotoju na cim świti żyty,

„Swoi lude jak czużyji, ni z kim howoryty.”

— Tak, wiem już co dalej: oto za chwilę głowa jej ze stukiem opadnie na pulpit, a piersi poczną rozrywać, straszne, tłumione bezskutecznie łkanie. Zerwie się więc, pobiegnie do swojego pokoiku na górę i tam jak psiak skulona przesiądzie na podłodze długie godziny, dławiąc się od łez. A ja?.. ja siostra i jedyna prawie opiekunka, nic jej pomóc nie mogę, — bo gdy otoczywszy wątłą postać ramieniem, zechcę szeptać słowa jakiejś mizernej pociechy i ukojenia, zerwie się jak wtedy i zakrzyknie:

— Boże! czyż mnie już nawet i płakać nie wolno...

O łaskę łez prosisz, dziecko Ty biedne. Dam Ci ją,—tyle dać Ci tylko mogę. płacz więc, jeśli ulgę łzy wypłakane przynoszą... Ale ja już na to patrzeć nie mam siły.

Porwałam się i narzuciwszy szal, wybiegłam na ganek. Za ogrodem, zaróżowione nieco ostatnim odbłaskiem zachodu, majaczyły szeregi chat wiejskich. Uśmiechnęłam się do nich, jak do starych, dobrych znajomych i z wolna poszłam w tę stronę.

Potem, na przelaj wśród zczerniałego już rzyska, wiodła mnie wąska, dobrze znana ścieżyna. Ostatnie nici babiego lata, czepiały się sukni i obuwia, gromady wróbli klóciły o coś hałaśliwie na obnażonej gruszy, od wioski dolatywały stłumione nawoływania pastuchów, a rzeźwy zapach pieczonego chleba, drażnił nozdrza. Dymy nisko tłukły się nad ziemią.

— Będzie jutro deszcz — myślałam odruchowo, wchodząc we wrota „obejścia”. Na progu dość ubogo wyglądającej, niewielkiej chaty, siedziała młoda, w barwny strój miejscowy odziana, kobieta. Głowę miała wspartą o odrzwia i patrzyła przed siebie tępy, pełnym przygnębienia wzrokiem. Obok na ziemi stał koszyk z kartoflami i miska z wodą.

— Pochwalony Jezus Chrystus! Cożeście się tak zamedytowali Stachowa?

— Na wieki wieków. A, to panienka. Nawet nie widziałam wkiej panienka weszli—mówiła przyjaźnie, usuwając się i robiąc mi miejsce obok siebie.

— A no właśnie, takeście się zadumali!..

— Oj moja panienko, jakże ni mom medytować, wkiej mi mojego Stacha na wojne bicrom.

— Co znowu! Przecie on swoje już odsłużył?

— Ano juści, ino że tera zapasnych wołają, a on pirsy. Panienka nie słyseli? Pojechali dziś do powiatu i Stacho i Tomek od Wójcików i Jędrak Mazur... A w niedzielę ponoś ich mają gnać dalej... do Aponji. O mój Jezu—jęła zawodzić żałośnie, a cóż ja tu z tymi sirotami pocnę sama jedna...

— Nie płaczcie Stachowa, może jeszcze Bóg da, że go nie wezmą.

— Co go ni mają wziąć. Chłop jak dąb, a zdrów jak koń —mówiła z mieszaniną dumy i żalu. Już ja go ta miała nie będe.

Szlochała chwilę, potem z jakąś determinacją, otarła oczy fartuchem i wzięła się do obierania kartofli.

Milczałyśmy obie, w końcu Stachowa ozwała się pierwsza:

— A co tam u panienki? Jak pan starszy?

— A cóż, źle... doktorzy mówię, że pewno zimy nie przetrzyma — odparłam apatycznie, zdając się nie pojmować treści słów własnych.

— A panna Ala?

— Jak zwyczajnie,—płacze...

— O panu Jerzym nic nie wiadomo?—spytała ciszej.

— Przewieźli go teraz do warszawskiej cytadeli; adwokat mówił, że przed nowym rokiem będzie napewno sprawa.

— Może puszcza?

Ruszyłam ramionami.

— Ale gdzie tam! O tem to nawet niema co myśleć! Dobrze, że się na wystaniu skończy.

— Panna Ala mówiła, że pojedzie tam za nim jakby na to przyszło.

— A właśnie dla niej taka podróż po zapaleniu płuc... I prawdę powiedziawszy nie ma nawet za co... Panna Ala mówi jak dziecko, dodałam z pewnem rozdrażnieniem, bo mi stanęły przed oczami wszystkie przeszłe i przyszłe sceny rozpacz... Doktor kazał ją strzec od zaziębienia i zmartwień.

Dreszcz mną wstrząsnął. Stachowa się podniosła.

— Chodźwa do izby,—słonko już zaszło i chłód idzie od ziemi. Panienka się ogrzeje przy kominie.

— Nie, dziękuje Wam, moi drodzy. pójdę już do domu, czas i na mnie pomyśleć o kolacji. Ostańcie z Bogiem.

— Niech Pan Bóg prowadzi.

Miarowy stuk pociągu usposobił do snu.

Broniłam się jednak ogarniającemu mnie znużeniu, bo oto dojeżdżaliśmy już do stacji.

Na przeciwniejszej ławce otulona szarą peleryną spała Ala. Dogasająca świeca rzucała chwiejne błyski na jej drobną twarzyczkę, która w tym półmroku, na tle ciemnego pledu, wydawała się jeszcze bledszą i prawie tragiczną. Nic dziwnego. Krótkie widzenie z Jerzym z takim trudem zdobyte, wstrząsnęło nią do głębi. Całą noc przeplakała. Teraz śpi, biedactwo, śmiertelnie wyczerpana.

Przenikliwy jęk lokomotywy uderzył uszy.

— Dojeżdżamy Ala, szepnęłam, pochylając się nad nią i odgarniając zlekka ciemne pasmo spadłych na oczy włosów.

Zerwała się trochę nieprzytomnie i zachwiała od gwałtownych ruchów mijającego zwrotnicę pociągu. Zamigotały oslepiająco latarnie. Pociąg zwolnił biegu, zgrzytnęły hamulce. Już nas wita przenikliwy dźwięk dzwonka i zwykły gwarny szum dużej stacji. Nagle jakiś przeraźliwy okrzyk, raczej ryk setek

potężnych gardzieli i wraz huk trąb mosiężnych, ogłuszające chaotyczne dźwięki wstrząsają drewnianymi ścianami wagonu.

— Co to, co się tu dzieje? pytam oszołomiona wpadających po rzeczy tragarzy.

— A to artyleryjska brygada idzie na Daleki Wschód i zapasne także,—odpowiadają mi jakoś gorączkowo, pospiesznie.

Zeskakujemy na peron i wpadamy w ruchliwą ciżbę ludzką, tłoczącą się, rozgorączkowaną. Wrzask, klątwy, nawoływania w różnych językach. Znienacka wpada w ucho jakiś rozpaczliwy szloch kobiety, błyskują bagnety i szczękają zamki odwodzonych karabinów, szpalerami ustawionej piechoty... i znowu głuzy wszystko na chwilę przeraźliwa fanfara orkiestry.

Popychane, potrącane, niewiadomo kiedy znalazłyśmy się w wielkiej sali pierwszej klasy. Tu tłok nieco mniejszy, a może tylko mniej brutalny i gorączkowy.

Przy okrągłym stole, trochę na uboczu, kilkunastu oficerów, stojąc pije szampana. Młodziutki oficer z twarzą lalki, podniósł właśnie pusty już kieliszek i trzasnął nim o podłogę. Jakby na dany znak posypały się inne. Zamilkła na chwilę muzyka. Uderzył drugi dzwonek i z jęklwym jego odgłosem zawibrował w uszach przenikliwy krzyk kobiety. Krzyk dziwnie bliski, znajomy... Porwałam się z miejsca.

— To nasi, to pewno i nasi idą! Zostań tu, Alu, chwilę przy rzeczach, ja muszę na peron, pożegnać, zobaczyć...

Przecisnęłam się, nawpół przytomnie przez zatłoczone wejście i dalej roztrącałam ludzi, pchana jedną tylko myślą dostania się najbliżej pociągu.

Błysk bagnetu zagroził mi drogę.

— Nie! Iza!

— Pastoroniś! — krzyknięto mi nad uchem i w jednej chwili pchnięta przez niosących kufrы żołnierzy, znalazłam się pod ścianą.

— Niech Pani stanie na tej pace,—przemówił do mnie jakiś człowiek, z posmoloną twarzą w wytartym mundurze kolejowym,—stąd dobrze widać.

Usłuchałam machinalnie. Na razie jednak skłębili mi się tylko w oczach ruchliwa masa głów ludzkich, nadmiernie czer-

wonych, lub dziwnie bladych twarzy, mundurów, kozuchów, kudłatych czapek... Nie rozróżniałam nikogo. Na chwilę zdało mi się, że w którymś z okien wagonu mignęła mi płowa czupryna Jędrka Mazura i potężne barki Stacha.

— W którym wagonie jadą rezerwiści? — spytałam mojego sąsiada.

— Dwa ostatnie wagony,—ten bliżej to chłopcy ze wsi, a w samym ostatnim miastowe.

Dalsze słowa zagłuszył przeraźliwy wrzask z przednich wagonów.

Zakotłowała się ciżba ludzka, zakolysała i złamała linja nadstawionych bagnetów.

Potworny, nieludzki ryk rozdziera powietrze, targa nerwami, głuży nawet orkiestrę, która, splątawszy się, urwała w połowie taktu na chwilę, ale znowu grać poczyna niesfornie, gorączkowo...

— Jezus Marja! co to, co to?... szepcę zdławionym głosem.

Jeszcze chwila, długa jak wieczność,—krzyki cichną, zamęt uspakaja się zwolna. Orkiestra z precyzją wykonywa marsza z „Fausta“. Ostatnie tony milkną w powietrzu. Nagle z ostatnich wagonów, jak fala potężna a rozlewna, uderza chór zgodnych męskich głosów...

Chwila ciszy, sekunda wielkiej ciszy Podniesienia...

To chłopcy, chłopcy nasze śpiewają.

Jak cięcie miecza wpada gromki rozkaz. Uderza trzeci dzwonek.

Pociąg z jękiem i zgrzytem rusza. Migają wagony, coraz prędzej, prędzej...

Drga pieśń.

Oddala się, cichnie, niknie. Jeszcze jakiś zbłąkany dźwięk, miarowy, coraz cichszy turkot.

Odjęłam ręce od twarzy złanej łzami.

Mgła przesłania mi oczy. Na opustoszałym peronie snują się pojedyncze postacie służby kolejowej.

Wstrząsnęłam się i zwolna zwróciłam do wyjścia.

Zdławiony szept: „Jezu, Jezu!“ zadygotał mi w uszach. Odwróciłam się i o kilkanaście kroków, pod latarnią dojrzałam skuloną postać kobiecą. Poznałam ją odrazu.

— Stachowa—rzekłam dotykając jej ramienia— Stachowa, chodźcie, odwiozę Was do domu. Już nic nie widać.

Patrzyła wciąż szklanym wzrokiem przed siebie, a usta nieprzypadkowo szmerły: Jezu, Jezu!

— Chodźcie, nie patrzcie tak, już nic niema.

— Nic, nic niema —powtórzyła, wstrząsając się.—Paniusiu!!!

Z przeraźliwym szlochem ruciła się na ziemię, obejmując mi nogi i tłukąc głową o kamienne płyty.

Z oddali wiatr przynosił miarowy łoskot pędzącego w otchłań ciemną pociągu.

.....
Posępny korowód szarych dni i nieskończenie długich nocy. Szamocą się z wichrem w niewysłowionej męce nagie ramiona drzew, ziemia tężeje od mrozu, aż otulona miękkim, białym całunem, zasypia snem ciężkim.

O wiosko moja, cicha senna wiosko!

Gdzieś daleko wre walka, wzbiera łez i krwi morze. Ze stosu trupów, oparu krwi i dymu pożarów, wstają widma jakiegoś jasne i ciemne, promienne i krwawe, kłębią się, zmagają, ciągną ku nam, niepojęte a groźne.

Idą...

„Idą budzić śpiące, a mają palce jakby wzywające na wielki Boży Sąd!“

Śpi wioska moja, cicha senna wieś.

Nie budzą jej jeszcze stłumione, dziwne echa dalekich burz. Oto wieść groźna spada jak piorun w toń sennego jeziora. Toczą się kręgi na wodzie, chwilę chwieją trzciny i szepcą coś tajemniczo, coraz ciszej, ciszej, aż wszystko milknie. Toń równa gładka, zda się nieruchoma, lecz kamień ciężki już na dnie chowa. Kamieni przybywa, wznoszą się wody, przepętniają brzegi.

Ramiona moje pręży żądza czynu, a rozpalone źrenice patrzą we wstającą jutrznię Wschodu w oczekiwaniu wielkiego cudu Zmartwychwstania!

.....

Blade popołudnie niedzielne. Na dworze szaleje marcowa zawierucha. Niebo, ziemia, powietrze, wszystko przesłonięte gęstą, białą oponą...

I tylko mającą ciemne kontury świerków, kołyszące się od podmuchów wichru.

Chwilami uderza silniejsza fala, kołacze głucho okiennica, szyby dzwonią leciutko jakąś żalną, przejmującą skargą.

Siedzimy we dwie w małym pokoiku na górze. Ciepło tu i zacisznie. Tylko z dołu, jakby z pod podłogi, przytływa do nas jękliwa melodia „Gorzkich Żali“, które wyciąga jakiś przenikliwy dyszkant kobiecy.

Z głową opartą na dłoniach, przy stoliku pod oknem Ala czyta list. Białe jej, wychudłe palce, zanurzone w ciemnej gęstwinie włosów splotły się kurczowo, przez twarz przelatują co chwila płomienie, aż w końcu pozostają na policzkach ciemnymi plamami rumieńca. Z oczu, gdy je wzniesie nieco przy odwracaniu kartek, biją blaski jakieś promienne.

Patrzę na nią już długą chwilę w milczeniu, a duszę uciska mi jakiś dziwny ciężar. Wiem, to od Jerzego ten list, ale co w nim porusza tak to dziecko biedne?..

Gлуche przeczucie mi mówi, że znowu mający mu jakiś złoty miraż, który prysnąć musi.

Skończyła czytać i, ukrywszy twarz w dłoniach, długą chwilę pozostała nieruchoma. Podeszłam zwolna, przygarnęłam ją do siebie i cicho spytałam:

— Alu! co Ci Jerzy pisze?

Podniosła na mnie płonące oczy.

— Skąd wiesz, że Jerzy? Przecież i adres i stempel..

— To nic... ja wiem.

— Widzisz, Maryjko—zaczęła gorączkowo—Jerzy pisze, że wkrótce za parę miesięcy, może już w maju lub czerwcu, wróci, wróci napewno, mają plan, który się udać musi. I środki mają.. Wróci... mnie podrodze zabierze, potem razem udamy się zagranicę. Pobierzemy się... Mnie umieści w Zakopanem. Ma ko-

legę w Sanatorjum, zresztą jako żona lekarza będę tam prawie darmo. A potem... powróci tutaj za austriackim paszportem... zapuści brodę. Nie poznają go przecie. Mówi, że ma tu jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Ja wiem, on musi... więc go za-
trzymywać nie będę—dokończyła ledwie dosłyszalnym szeptem.

Drżała teraz całym ciałem, a mnie łzy zdławiły gardło.

— Ty milczysz, Maryjko, nie wierzysz...

— Owszem, wierzę—odparłam głucho—tylko..

— Nie, nie, nie mów już nic--przerwała gwałtownie—tak
będzie, tak być musi!

Umilkłyśmy. W głuchej ciszy kołaczą nierówno biedne,
umęczone serca. Gdzieś z pod podłogi, płynie jękliwy śpiew:

„Zasłona się popadała, ziemia się rwie, łamie skała“...

Ala lekko wysunęła się z mych ramion.

— Ale i Ty Maryjko masz list jakiś.. Co to? nawet go
jeszcze nie otworzyłaś?

— Zapomniałam o wszystkim, patrząc na Ciebie. A! to
od Stacha z wojny..—szepnęłam.

Rozwinęłam biedny poplamiony papier i przysunąwszy się
do okna, przy ostatnich odbłaskach gasnącego dnia, czytałam:

„W pierwszych słowach mojego listu niech bendzie po-
chwalony Jezus Chrystus, niech bendzie na wieki wieków Amen.
Uwiadam Wielmożną Panienkę że jestem zdrowy z łaski Naj-
wyższego Pana Boga, czego i Wielmożnym Panienkom i Wiel-
możnemu Starszemu Panu życze i kłaniam się niskim ukłonem
i całuje w rence i w nogi i życze zdrowia i dobrego pcwodze-
nia od Pana Boga Miłosirnego i od Matki Boskiej Częstochow-
skiej. I donosze że ja odebrałem list od Państwa i bardzo jam
sie uradował że Państwo o mnie nie zapominą. Jakem odebrał
tom czytał razy dwadzieścia dlatego zem sie rozmawiał z Pań-
stwem w takiej dalekiej Krainie. I donosze że u nas tera mro-
zy bardzo duże. A my nachodziemy się na dworze zimno bida
nima gdzie i listu napisać przychodzi się takie dni że i 2 dni
i 3 dni nima co jeść bywa tak że nima kawałeczka chleba. A

teraz donosze Paniencie ze ja już byłem w boju 2 dni no ja o-
stałem żywy chwała Panu Bogu, Pan Bóg mnie obronił. A pu-
le latali koło mojej głowy jak desc tylko głowe nachylać to tu,
to tu, ja patrze a koło mnie żołnierze padają jak snopy ni moz-
na i patrzeć to ubity to bez nogi to bez ronk, to bez głowy a
duzo było tak ze nie naśli ani kości porozrywało na kawałeczki.

Ach Boze mój kochany! jaka jego wola Przenajświętsza ze
ja nie myślałem być żywy na tyle japońskich pul, które około
mojej głowy padali. Nimoge więcej co pisać bo uchodziemy
o godzinie 10 wieczór w bój. A ja dostałem list od Państwa
o 6 wieczorem. Prosze Wielmożnej Panienci zeby mi napisała
jaknajprendzej moze bende żywy. Amen.

Pisał Stanisław Wróbel "

... Opadła mi ciężko ręka z listem ku ziemi.

Nabrzmiałe od łez oczy pobiegły w dal.

Na dworze ucichła już zamieć, rozpierzchły się chmury, a
wiatr przyczał w rozdołach.

Na rozległym gazonie i hen, w szerokiej świerkowej alei,
— faliste, dziwnie równe zasy, zdają się nieskończenie długim
szeregiem białych mogił, który płynie aż na krańce wąską linją
krwawiącego się horyzontu.

Z mogił podnoszą się chwilami, jak widma białe, obłoczki
śniegu.

To z wielkiego cmentarzyska ciągną ku nam żalosne cie-
nie pomarłych braci.

Taki długi, cichy korowód.

„Może będę żywy“... wybiegł mi na usta struchłały szept.

Na niebie gasły ostatnie blaski zorzy wieczornej i cicho
zapalały się pierwsze gwiazdy.

Szła długa, mroźna noc...

* * * * *

„Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas o Matko! nie opuszczaj nas!..“

Błagalna, bezmiernie smutna pieśń, rozbija się o sklepienia kościoła i jak ptak zmęczony, ku ziemi opada. Głucho, jęklawie wtórują organy. W powodzi kwiatów i światła, jaśniej kamienna twarz Madonny.

Ostatnie nabożeństwo majowe...

„Cóż dziwnego, że łzy płyną, gdy to życie łez doliną“ — intonuje tuż przy mnie jakiś wysoki sopran kobiecy i wraz głuchym jękiem szłocha tłum: „Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas...“

Pierś moją rozrywa jakieś rozpaczne łkanie bez łez, kurczowo zaciskają się ręce na pulpicie ławki, usta szepczą:

„Bądź pozdrowiona, Królowo bólu i żałości...“

„Oto Ci kwiaty niesiemy, kwiaty wyrosłe na ojców zapadłych mogiłach.“

„Oto Ci serca niesiemy, zmęczone, biedne serca nasze...“

Zajęczały głośniejsze organy i umilkły nagle. Rozpłynęła się pieśń w westchnieniu, szmerze modlitw i głuchym łomotaniu w piersi.

Szum odpływającej fali ludzkiej.

Kościół pustoszeje zwolna. Jak mroczno!

Rozbolałemi oczyma patrzę jak cicho, jedno po drugim ni kną złotawe płomyki świec.

Już tylko kilka lampek migoce u stóp kamiennego posągu Bogarodzicy, bielejącego na ciemnym tle dębowego ołtarza.

Podnoszę się i zwolna, bezmyślnie zwracam ku drzwiom.

W progu przystaję i oczy na chwilę przed blaskiem przy mykam.

Hen daleko, za ciemne pasmo sosnowego boru, złocisto i krwawo rozgorzałe słońce zapada.

Jest cudna chwila przedwieczorna, ostatni uśmiech promiennego dnia.

Z wyniosłego kościelnego wzgórza, oczy moje obejmują rozległe płaszczyzny łąk, cienne linje lasów i tuż u stóp, w białych sadach nieco ukrytą,—gromadę chat wiejskich.

Miękką, tkliwą falą otula mnie ciepłe, wonią kwitnących jabłoni przepojone, powietrze.

Drga chóralny pogwar ptactwa.

Jak senna schodzę po szerokich kamiennych schodach, usypanych białymi płatkami, rosnących po obu stronach czereśni.

Idę coraz wolniej, nogi uginają się podemną.

Osuwam się na jakiś stopień, głowę wspieram o zwietrzały mur poręczy, zamykam oczy. Bezmierne zniechęcenie ogarnia całą moją istotę.

— Dokąd pójdę, dokąd i po co?.. Sama jestem, sama, sama, i jak te białe płatki u nóg moich, podmuchem wichru ciśnięte na ostre głazy, stopą ciężką deptane...

O, gdyby tak zasnąć cicho, snem bez snów i przebudzenia!..

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zaszemrał tuż obok stłumiony głos.

Podniosłam nawpół przytomne oczy.

Przedemną o parę schodów niżej, stała Stachowa, zbiedzona i smutna.

— A!.. to Wy... to dobrze... Chodźcie tu bliżej, siadajcie. Tak dawno Was nie widziałam.

— Od pogrzebu starszego Pana—odparła cicho.

— Od pogrzebu—powtórzyłam bezdźwięcznie i umilkłam.

— Panienka tera sama jedna—zaczęła po chwili Stachowa. Pono i panna Ala pojechała zagranicę?

— Zabrała ją ciotka do Włoch, zaraz po śmierci ojca.

— A długo tam będzie?

— Nie wiem... bardzo chora...

Przymykają się zwolna obrzmiałe od łez powieki.

Cisza... tylko wróble ćwirkają gdzieś sennie i z ledwie do-
słyszalnym szmerem spada co chwila na moją głowę, biały kwiat
czereśni.

Obolały mózg z dziwną wyrazistością odtwarza ostatnią
chwilę pożegnania.

I widzę bladą, drobną twarzyczkę wśród zwojów czarnej
krepy, jak pochyla się ku mnie z okna wagonu. Taki bezmier-
nie smutny, mrozem zwarzony kwiat. Mówi zcicha rwącym się
co chwila głosem:

— Maryjko, nie patrz na mnie tak... ja wrócę, wrócę.

Zakaszłała krótko, przenikliwie.

— Ale gdyby się co stało—dodaje po chwili jeszcze ciszej
—boć przecie wszystko możliwe... mówię tylko tak... A gdyby
Jerzy tu wrócił, to mu powiedz odemnie...

Przeraźliwy dźwięk dzwonka stacyjnego zgłuszył ostatnie
słowa. Odpowiedział mu głuchy jęk lokomotywy, zgrzytnęły łań-
cuchy... Kurczowy uścisk ręki, kilka słów bezładnych, wzajem
niesłyszanych.

Bledziuchna jak opłatek twarz, niknie z przed oczu. Tyl-
ko czarne skrzydła żałobnego welonu. szarpnięte wiatrem, raz je-
szcze powiały ku mnie z oddali.

I już Cię niema, ptaszyno Ty moja żałobna!..

— Nie płaczcie panienko—mówi cicho Stachowa—na wszyć-
ko je moc boska.

Spoglądam na nią długą chwilę. Siedzi zgarbiona, rękami
oplotła kolana, oczy bezmiernie smutne patrzą przed siebie jak-
by w zaświaty.

— Stachowa!—mówię pochylając się zlekka ku niej—i Was
jakaś niedola gniecie. Co Wam?

Na te słowa, przenikliwy, jakby dawno dławiony szloch,
wyrwał się z piersi kobiety.

Rękami schwyciła się za głowę, przypadła do moich kolan
i wybuchnęła strasznym, zawodzącym płaczem.

— Co Wam, co Wam?..

Bezskutecznie staram się unieść jej głowę i podeprzeć ramieniem.

W końcu opuszczam ręce i czekam bezradnie aż się wyczerpie i ucichnie.

— Jak ona płacze, jak strasznie, żywiołowo płacze—myślę w jakimś dziwnym osłupieniu. — Ma czego, tak to jasne... Stach, jej kochany, dobry Stach zabity.. Niema Cię już, Ty moja dumo, Ty jasny duchu mej wioski. Zabili, zabili — szepczę zdrętwiałymi usty.

Płacz cichnie zwolna, jeszcze kilka jęklowych westchnień i, zlekka chlipiąc, podniosła głowę i spadła chustkę wiązać zaczęła.

— To Stacha zabili—wyrzekłam cichutko.

Poruszyła się gwałtownie, oczy błysnęły jakimś dziwnym wyrazem i wyrzekła twardo:

— Wolejby go zabili!

— Stachowa co Wy, co mówicie?!

Oddychała szybko, a z twarzy biła taka tępa zawziętość aż cofnęłam się mimowolnie w zdumieniu.

— ...To już ja Panience wszystko po porządku rozpowiem — zaczęła po dłuższej chwili, bezdźwięcznym, cichym głosem. — Akuratnie w tę niedzielę, kiedy pan starszy pomarł przystali, że jest jakieś do mnie pisanie w gminie. Zara mnie tchnęło, że musi to coś złego bedzie. Przyszłam... Pisarz wziął czytać jakiś papier,—najpierw po rusku, potem po polsku coś długo rozpowiadał.

W głowie mi się mąciło... to ino wyrozumiałam, że Stachowi jesce w zimie w boju harmata urwała obie nogi, a jak go wieźli do szpitala. mróz był wielgi, ręce se odmroził i musieli mu uciąć obydwie...

Tera je w szpitalu, czy jakiejś ochronie w Mandżurji, niby zdrowy,—dają mu tam pomieszkание i życie, i wszystko... Ale jemu się cni okrutnie i uprosił felczera, zeby wysłał od niego pisanie do domu... A w tym pisaniu, to on bardzo prosi, ze-

bym mu przysłała kozuch i choć ze styrdzieści rubli, to on powróci. Bilet na kolej, to już dadzą darmo, ino trza na przeżycie i na zapłatę dla tego człowieka, coby go odwiózł.

Jakem to usłyszała, zara w tej kancelarji padłam jak nieżywa, aż mnie wodą łać musieli. A jak wróciłam do dom, tom bez trzy dni ni jeść ni spać nie mogła. Ciężkiem mi stał na oczach, gdzie się ino obróć. Az czwartego dnia posłam do gminy...

— I co.. i co?!..— spytałam szczękając zębami.

— A cóż—odparła zwolna, odwracając w bok głowę—kazałam pisarzowi, aby dał odpis: „Wkiej mu tak zrobili, niech go tera zywia“...

— Jezus, Marja! Stachowa, jak Wy się Boga...

Głos mi się zerwał.

Zapadła głucha cisza, przerywana tylko ciężkim oddechem Stachowej.

Znagła, splecionemi rękami ścisnąwszy czoło, do nóg mych przypadła i zcicha jęczeć poczęła:

— Panienko, nie patrzcie wy tak na mnie .. Ja wiem, wszyscy, cała wieś, bij, zabij, jak na tego psa.. A co ja winna?.. Sama, z tem cworgiem drobiazgu, matka stara, trzy morgi aby, skąd ja wezmę tyła pieniędzy. A przecie i jemu jeść trza dać. Kaleka, jak ta kłoda... O, Jezu, Jezu, Jezu!..

— Cicho, cicho—szeptalam bezmyślnie, gładząc ją po głowie ręką zdrętwiałą i zimną.

Ucichła zwolna i w skurczu jakimś bolesnym, znieruchomiła.

W jakiejś chwili, podniosła ku mnie głowę i patrząc prosto, rozbłysłemi dziwnie oczyma, spytała:

— Panienko, czemu nasz naród tak cierpi?..

— Nie wiem ..—odparłam cicho.

Wieczór już zapadł. Na wzgórzu tłukły się jeszcze nikłe odbrzaski zorzy wieczornej, ale u stóp naszych, w dolinę, zeszedł już mrok i cień. Tu i owdzie rozbłysły po chatach świa-

telka, od łąk nad rzeką rozwłóczyły się mgieł welony. Chóralny rozhowor żab rytmiczną fałą płynął powietrzem...

Podniosłam się zwolna i obejmując ramieniem skuloną postać kobiecą, rzekłam:

— Pójdziem już Stachowa. Pójdziemy razem, jednaka nam droga.

... Cicho schodzimy po kamiennych schodach w dolinę, przez zasnute mgłą łąki, ku ciemnej świerkowej alei, gdzie wierzchołkami jakieś się dziwne szумы niosą...

Jaka noc ciemna, jakie rosy zimne!

„Hej! przyjdzie słonko na niebiosą wschodzące

„I wypije chłodne rosy na łące!“

.

Czy wypije i łez naszych morze?..

Zofja Guzowska.



FRAGMENT.

Najdroższych Twoich nadziei kwiaty
Dzień w słońcu marzeń: niech bujnie rosną
I niech ci w duszy pachną rozkosznie
Nieczystą wiosną!

Bo gdy wokoło smutno i szaro,
A pod stopami głóg i pokrzywy,
Trzeba mieć w sobie jasne schronienie
Kacik szczęśliwy.

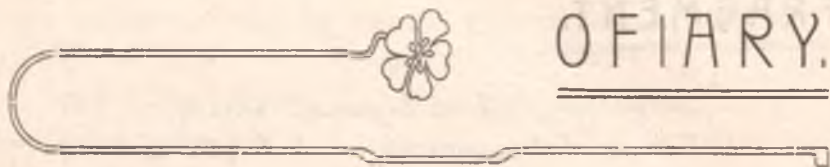
Obudzona królewna.

Była raz w duszy pieśń
Ukryta, cicha i zsewna,
Była raz w duszy pieśń
Spięca królewna.

Przyśzedł królewicz-ból
I przyniósł wielkie kochanie,
Na ustach słożył królewny
Bocakowanie...

Królewnę objął zar,
Senne otworła powieki.
Wziął ją królewicz-ból
Wziął ją — na wieki!

Marja Znatowiczówna.



OFIARY.

Tyle lat upłynęło, a dotąd mi jeszcze niekiedy w oczach staje, wynędzniałe, chore, ścicha jęczące, — to malenieństwo, które kilka dni przedtem takie świeże było, rozkoszne i kwitnące.

Z powodu tego właśnie przepychu zdrowia zeń bijącego, wybrałam matkę jego, roślą i tęgą wieśniaczkę, na mamkę dla mego syna.

Kilkumiesięczny chłopczyk, w czystej zgrzebnej koszulce, przypity do żywiącej piersi, kragły był, rozkoszny i wesoły. Właściciel „biura stręczeń”, handlujący odebrany od niemowląt macierzyńskim pokarmem, z zadowoleniem i chlubą wskazywał jego jędrne, pełne ciało.

Chłopczyk oderwany od macierzyńskiej piersi, podniósł główkę świecącą jasnymi włoskami, zwrócił na mnie niebieskie oczęta i uśmiechnął się przyjaznym, radosnym uśmiechem istoty, której dobrze żyć na świecie, niewinnym uśmiechem niedoli, która ufa, że jej świętej niewinności nie skrzywdzą. W tym jasnym uśmiechu, mała twarzączka jakby rozkwitła promieniem bezwiednie odczuwanego szczęścia, nadziei, sił i ochoty do życia.

* * *

Michalina była u mnie już od tygodnia.

Cichaczem popłakiwała po kątach za jedynakiem, przywykając powoli do specjalnego, sytego życia, wygodnej pościeli, obfitego i smacznego jedła.

Doktór zabronił jej odwiedzać dziecko, gdyż jej wzruszenie mogłoby memu niemowlęciu zaszkodzić. Właściciel kantoru stręczeń, zaręczał, że ma jej Tadzika w troskliwej opiece, że dziecku jej dzieje się doskonale; oddano go na odkarmienie przyjezdnej kobiecie, która go wkrótce wywiezie na wieś.

Tęsknotę jej za dzieckiem i smutek, rozpraszałam podarunkami,—ze względu na moje własne małeństwo.

* * *

Aż dnia pewnego przyniesiono go.

Najęta do chowania go kobieta, wypytawszy o mój adres przyszła, aby zwyż umówionej zapłaty, jeszcze od „Pani“ jaki podarunek otrzymać.

W ciszy mego buduaru zadrgały nagle odgłosy łkań i jęków. To Michalina na widok malca rwała włosy i tłukła głową o ścianę.

Na ręku grubej kobiety w kraciastej chustce, żwawo coś objaśniającej i perorującej, w łachmanach lepkich i brudnych, leżał nieruchomo, jęcząc zcicha, mały wpół-żyjący trupek.

Patrzac nań, odczuwało się, iż ta istota żyje po to tylko, by cierpieć, że każdy jej oddech, każde czucie jest cierpieniem.

Gdzież się podziała pyzata twarzyczka i jasne, pogodne spojrzenie? Teraz twarzyczka zczerniała była, ziemista i wychudła, a z boleśnie ściągniętych ust wyrывał się nierówny, przerywany oddech.

— Dbam o niego jak matka najlepsza,—tłomaczyła rezolutna kobieta rozpaczającej Michalinie.—Ja jemu i chleba! ja jemu i smoczek! i kartofli! i cukru... On nic! drze się tylko jak opętany. I ciągiem leje się z niego... Już „musi być“ z niego nic nie będzie!

Za pomocą kilku elementarnych wskazówek higieny wyjaśniłam jej co należy czynić, poczem przebraw-

szy dziecko, nałożyłam rozgrzewający kompres na wzdęty, boleśnie drgający brzuszek, u którego cienkie, pomarszczone nóżki, zwisały jakby bez kości.

Kobieta obdarzona sownicą, kiwała głową potakująco, wzdychając żałośnie:

-- Nie becz! Michalino. Patrz, jaka „*pani dobra*“.

Niemowlę patrzyło na mnie swemi niewinnemi, poważnemi oczami, w których już cienie śmierci migotały, —a gdy, ukończywszy opatrunek nachyliłam się, by je pocałować, żółta twarzyczka pół-trupka ożywiła się nagle, i na sine usteczka wybiegł mu taki jasny, dziecięcy, ufny i radosny uśmiech.

.

Było mi w tej chwili tak, jak gdybym moje własne, niewinne i nieświadome, śpiące spokojnie w kolebce dziecko, obciążyła grzechem bratobójstwa, jakbym je nakarmiła ciałem i krwią tego męczennika.

Hanna Krzemieniecka





BIAŁE NOCE.

Cudne wy, białe noce!

Ileż chwil pogodnych, ile kojącego uroku zawdzięcza wam dusza moja, gdy znękana i rozbita poddawała się i wczuwała w wasz cichy nastrój.

Oto zbliża się północ, gdy słońce powoli chowa się za horyzontem.

A niebo całe pali się zarzewiem, stroi krasą najcudniejszą, to czerwieni, to różowi, to barwi w kolory, które napróżno nazwać byśmy się silili.

Daremnie mrok próbuje roztoczyć krucze swe skrzydła.

Nie masz dlań miejsca, bo odblaski niewidzialnego słońca, rozłamawszy się w barwy tęczowe, oplatają ziemię i bronią ją przed uściskiem posępnego zwiastuna i pana nocy.

Świat cały ogarnia cisza,—nie ta posępna i groźna, co zapowiada sobą burze i pioruny, lecz pełna spokoju i harmonji.

Drzewa nie poruszają nawet liśćmi swemi, zdumione, czemu nie ścięły się na ziemi cień ich konarów.

Gwiazdy, która śmielsza, wychylają się z za firmamentu, czekając, kiedyż przyjdzie ich godzina, by móc

rozsytać się, jak perły na królewskiej szacie po ciemnym firmamencie.

Lecz światło, choć delikatne i subtelne, jak dźwięki złotej arfy,—rani je jeszcze,—więc mrugają oczyma i znów się chowają.

Wszędzie cicho i urocz.

Jeno słowiki kwilą po gajach.

Jezioro, pozazdrościwszy krasy firmamentu, odbija w swych toniach zwierciadlanych cały jego przepych.

Nie porusza ona ani jednej fali, nie chcąc zamącać uroczego obrazu.

Bzy pachną i napęniają powietrze aromatem.

Jedyna orgja, jaka toczy się podczas tych nocy—to orgja barw i kolorów. Zda się, że natura chce zadziwić i zdumić swym bogactwem i wysyła coraz to nowe, coraz to wspanialsze koloryty.

Jeszcze nie wyczerpało się bogactwo barw zachodu, gdy oto już i świt różowi się i zajmuje sobą coraz to szersze pasma nieba.

Cyt,—co to,—ach, to ptaszek jakiś zbudził się, przetarł skrzydełkiem oczko zaspane, spojrzął na wschód i zaświergotał nieśmiało. Świt że to?

Oto ledwie spoczął przed godziną, znużony piosnką którą zegnał wchodzące słońce,—a tu ono już wraca. Więc choć zmęczony, głośniej się odezwał, by zbudzić towarzyszy i wspólnie zanucić pieśń powitalną na cześć dnia.

Czujne skowronki wzbiły się w górę, ścigając się, który wyżej doleci, którego z nich srebrzysty głosik z większej wysokości rozlegać się będzie.

Wkrótce i koguty z pedantyczną ścisłością wypiały pierwszą godzinę.

A słońce jest już ponad ziemią, niewywczasowane,
a jednak stokroć wspanialsze, niż po długim śnie zimowym.

Wita go natura odrodzona, witają drzewa kwieciami
swoim, wita rój ptasząt świergotem, — jeno ludzie śpią
dalej.

Cudne wy, białe noce!

Czemu wy tak rzadko gościecie, czemu mrok tak
często pokonywa was?

Czemu dobro tak rzadko zwycięża potęgę zła i ciem-
noty?

Witam was, białe noce!

Mieczysław Wójcicki.

Dorpat w maju





Pożegnanie.

*Myslałeś, że słowami: „Zegnám cię na wieki”
Obalisz mnie do stóp swych jak białą kolumnę,
Że, niżąc do twych kolan moje czoło dumne
— Nie odchodzi--błagać będę--jam twoja na wieki.*

*Myslałeś, że łzą srebrną świecąc u powieki,
Zehrzaco patrzeć będę w twe oczy rozumne,
Byś mnie i miłość moją wcześniej złożył w trumnę,
Nim rzucisz w mętne fale zapomnienia rzeki.*

*Myslałeś... Lecz, gdy w ciężkiej chwili zapomnienia
Byłam chłodna, pomimo wrącej w piersi burzy,
Ujrzałam w twoich oczach dziki błysk konania
Nadziei i zawód patrzący z ust róży,
Więc choć się z mojej piersi rwały jakieś tkania
I szlochy. Rzekłam zimno: -- Szczęśliwej podróży.*

Anieli Hajacówna.





Łątki i Ślimaki.

Pewien przyrodnik, rozmiłowany w eksperymentach, umieścił w małej oranżeryjce całą gromadę mięczaków. Chodziło mu o wyhodowanie najsmaczniejszego gatunku jadalnych ślimaków; urządził więc im pod szklanym dachem życie z wyszukanyim komfortem, dobierał dla nich pożywienie, na ziemię, mchem pokrytą, sypał wilgotne liście, wyszukiwał starannie ulubione przez nich rośliny. Ślimak winniczek, *Helix pomatia*, rozkoszny wiódł teraz żywot!

Praktyczny zmysł młodego przyrodnika nie wykluczał też pewnych poetyckich aspiracji, postanowił przyswoić powabne Agriony. Wpuścił więc kilka tęcoskrzydłych łątek do szklanej klatki i codziennie godzinami całemi obserwował je, robiąc spostrzeżenia nad mieszkańcami szklanego domku, o ile zaaklimatyzowały się, w nowych warunkach istnienia. Łątki buntowniczo wyrwały się wciąż w górę, były wążkami skrzydełkami o szklanne zapory i omdlałe opadały rozpacznie, jakby bez życia, by po chwili znowu rozpocząć swe daremne usiłowania.

Ślimaki za to, zdawały się najzupełniej z losu zadowolone. Zamknięte w ciasnej skorupie, nie odczuwały zbyt przygnębiającego ciśnienia, nie uskarżały się na brak powietrza. Uwięzione łątki zaś, tęskniły ustawicznie do wodnej głęбини, brakło im tych trzcín wiotkich,

na których kołysały się, gdy wiatr wieczorny szeleścił im jakąś pieśń cichą, a wilgotne opary rozsnuwały się po nad łąką przejrzystym tumanem.

Ślimaki były bardzo spokojne, bardzo zrównoważone. Czołgały się po mchu świeżym, zjadały liście kapusty, delektując się ich wytwornym smakiem, wysuwały ostrożnie różki, potem znów zasklepiały się w ciasnej skorupie.

Łatki, jakby odruchowo tylko, ściagały drobne muszki, wielkie swe oczy otwierając szeroko, wąskoskrzydłe, smukłe ciała wyprężając w chyżym locie, aby zmanifestować wyraźnie, jak im są wstrętne pełzające zwolna mięczaki. Z jakąż pogardą dumne Agriony spozierały na cały ten ród ślimaczy! Posiadają, podobnież jak one, krótkie, naprzód wysunięte ciekawie różki, i one pochodzą z tych samych moczarów, a jednak niema pomiędzy nimi nic wspólnego.

Napróżno siliły się łątki wytłómaczyć leniwym mięczakom, że nie powinny poddawać się tak bezwstydnie hańbiącemu bezwładowi, starały się obudzić w nich ambicję, ale uświadomienie ślimaków przez Agriony, szło wielce opornie, nawet wyraźnie zasmakowały w wygodnym schronieniu, podobało się im, że żywić się mogą bez trudu, codziennie troskliwa ręka wsuwa świeże liście kapuściane do szklanej klatki, badawcze oczy obserwatora, śledzące ustawicznie, nie krępowały ich wcale, oswoiły się jakoś prędko z tem spowszedniałem już dla nich zjawiskiem.

— A niech tam sobie patrzą i śledzą nas, jeśli im to przyjemność sprawia!... filozofowały pomiędzy sobą ślimaki, toć nic innego nie robimy, jeno jemy i śpimy, choćby nie wiem jak patrzyły, nic innego nie wypatrzą, te ciekawe utkwione w nas ślepie!...

Inaczej rzecz tę traktowały harde Agriony. Burzyła się młoda krew lotnych, tęcoskrzydłych owadów. Trze-

potąły się jak szalone, biły o szklanne zapory, wydając melodyjny szmer dniem i nocą, nie dając w ten sposób zażywać ślimakom błęgiego spoczynku.

-- A cóż to za niespokojne twory!.. zżymały się drzemiące po sytym posiłku mięczaki. Że też to chce się im wciąż wyprawiać harce i hałasy! Dziwne są te łątki! Lekkie to, chuderlawe, jakby bezcielesne, a takie grzechotliwe, a harde! Szczęście jeszcze, że głuptaski nie zabierają się do naszych liści, a gonią jakieś nędzne muszki, lub łamią sobie skrzydła o tę szklaną osłonę, wcale mądrze nawet pomyślaną, stanowiącą jakby drugą skorupę, która nas tak wybornie od styczności ze światem zewnętrznym chroni!

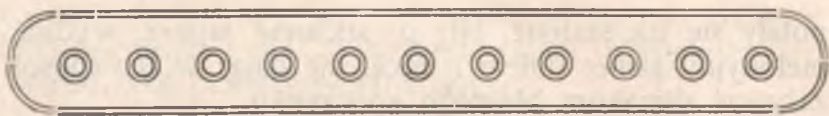
Tuczyły się ślimaki, naigrawając się wciąż z chybionych wzlotów Agrionów i ich bezsilnych usiłowań, aż wreszcie pewnego dnia utuczone dostatecznie na podsuwanych im wciąż liściach, ślimaki rzucono na patelnię, gdzie miały być usmarzone w kuchni smakosza przyrodnika, a nowa serja wylęgłych okazów tego rodzaju, zastąpiła ich miejsce pod szklistą osłoną. Co zaś do hardych Agrionów, uznał właściciel oranżerii za nieprodukcyjne przyswajanie, tak niespokojnie trzepoczących się owadów; i postanowił ukarać przykładowo niewdzięczników, pogardliwym wypuszczeniem ich z łaskawej opieki. Otworzyło się dla nich szklanne wieko. Pomknęły chyżo, by odszukać swe ukochane, niezapomniane nigdy bagniste niziny.

-- O szczęśliwe, mądre Agriony, które nie dały się wziąć na lep kapuścianych liści, jęczały ślimaki, gdy patroszono ich twardą skorupę.

I to były ostatnie ich słowa!...

Jerzy Orwicz.





BALLADA O MŁODYM RYCERZU.

Cicho przygasa zachód krwawy
I wstaje srebrny miesiąc z wody,
Rosa operła senne trawy,
W las ciemny wjeżdża rycerz młody.

... Młody rycerzu, wróć do domu:
W głębinie leśnej jest jezioro,
Nie radzę tobie i nikomu
Być tam samemu nocną porą.

Coś tam się dzieje, gdy świat zaśnie,
Roją się jakieś straszne dziwy —
Młody rycerzu! Dzisiaj właśnie
Byłeś — pamiętasz? — tak szczęśliwy!

Młodzian podnosi wzrok zamglony
Ku księżycowej srebrnej twarzy...
Powoli stąpa rumak wrony —
Cisza dokoła... Rycerz marzy...

Tak! Był szczęśliwy! Mgnienie jedno
Czy wieki całe — nie pamięta...
Wszystkie rachuby ziemskie zbledną,
Gdy przyjdzie szczęścia chwila święta ..

Tak! był szczęśliwy! Lecz wciąż głosy
Jakieś mu dziwne w duszy grały,
I myśl gdzieś biegła pod niebiosy
I świat wydawał się zamały,

I taki czasem poryw siły
Prężył mu barki i ramiona,
I tak mu tętna w skroniach biły,
I tak pierś drżała uciśniona,
I tak pałało pożądaniem
Wielkiego czynu serce młode,
Że uległ mu — i poszedł za nim
Na bój! Na trudy! Na swobodę!
Że wreszcie poszedł!!! Całą mocą
Rozerwał słodkich więzów sploty,
Wymknął się szczęściu ciemną nocą,
Wolnym już dzień go witał złoty!

Ach. teraz czynu! Teraz chwały
W utrudzeń męzkich krwawym znoju:
Kto własne szczęście zmógł zuchwały,
Ten w żadnym już nie legnie boju!

... Wzniósł się wysoko księżyc biały
I upadł twarzą w dno jeziora —
Miljony srebrnych skier zadrgały
W mieczu, co rdzewiał jeszcze wczora.

Zamknęły senne ciche wody
W głębi swej straszną tajemnicę —
Maską spokoju rycerz młody
Swe pałające okrył lice...

— Rycerzu młody... pochyl czoła...
Słyszysz?... Coś płacze w leśnej dali...
Słyszysz?.. Czy ciebie coś tak woła?
Czy to na ciebie coś się żali?..

Baczność, junaku! Wszystkie siły
Zbierz — oto nadszedł czas już. Oto
Pragnienia twoje się spełniły:
Masz zwieść twój pierwszy bój —

— z Tęsknotą.

Marja Znatowiczówna.



Dobra odpowiedź, to słodki pocałunek.

— Kto weźmie wieniec z róż?—pyta w Nocy listopadowej autor Wyzwolenia. I odpowiada sobie.

— Wódz chmurny, któremu na imię Czyn.

Cudownie!

Ale my się zapytamy

— A co będzie czynem ze strony szerokiego naszego Ogółu w zakresie zamierzanego celu — pomocy dla szkół początkowych?

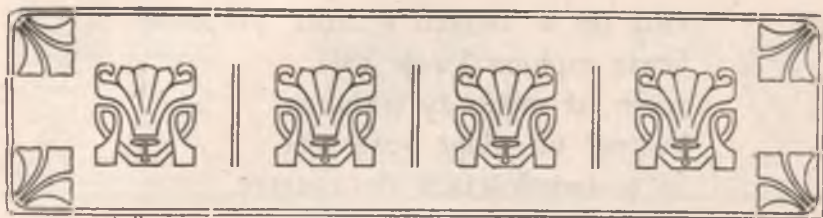
I odpowiadamy też sobie:

— Moneta brzęcząca, kurs w kraju mająca, kurant zwaną.

A gdy wszystkie najpiękniejsze teorie i „najdowcipniejsze“ odpowiedzi nie poparte przykładem—to słowa pisane palcem na piasku. Popieram swoje tamto, dołączoną na powyższy cel skromną, ale szczerą dziesięciorubłówką.

Ktoś ze wsi.





Z CYKLU: — — —

„TRYOLETY“.

Gdy mi w oczach złotą falą
szczerozłotych Twych warkoczy
skry słoneczne się zapalą,
z bujnych ogni, złotą falą...
krew mi kipi... tętna walą...
gdy ich załśni blask uroczy,
gdy mi w oczach złotą falą
błyśnie słońce Twych warkoczy!..

Gdy mi w oczach nieb błękity
Twoich źrenic załśnią jasne,
marzą mi się rajskie mity...
szlak słoneczny złoto-lity,
same tęczę i słońc świty...
choćbym oczy stracił własne,
gdy Twe chabry załśnią jasne,
widzieć będę wciąż błękity!...

Gdy mi w oczach w zórz purpurze
krwią zapłoną Twoje usta,
wiem, iż mimo życia burze,
kwitnąć mi wciąż będą róże. .
że w światłościach się zanurzę,
pieśń ognista, żarna, pusta
grać mi będzie,—gdy w purpurze
w oczach staną mi Twe usta!..

Gdy mi w oczach białym szlakiem
spłynie wonna Twoja postać
i nadziei błysnie znakiem,
wtedy chyżym, orlim ptakiem
leciałbym tym białym szlakiem,
gdzie Twa wonna chadza postać,
aby u stóp Twoich zostać,
choć jestes snem... majakiem!..

Adam Dobrowolski.

Lwów, styczeń 1911.





Z wycieczki do św. Marcina Turczańskiego.

Mało kto nawet z ludzi inteligentnych i dużo podróżujących zna niedaleko nas leżący i tak śliczny kraj Słowaków i wie cośkolwiek o losach tego nieszczęśliwego narodu.

Przyczyn tej nieświadomości, przypuszczam, szukać należy w tem, że nie mieli oni nigdy politycznego samoistnego państwa, o ile nie brać pod uwagę tych odległych czasów, gdy w IX w. po Chr. tworzyli jądro państwa Wielkomorawskiego. Rządzili nimi wtedy własni książęta. Od czasów Karola W. przeszli w stosunek zależny względem Franków i Niemców, a po upadku państwa Wielkomorawskiego stopniowo uzyskiwali nad nimi wpływ i władzę Madziarzy.

Nieświadomość ich losów u innych ludów smutne refleksje wzbudzać może i w nas, Polakach. Jakże często i my spotykamy się z ignorancją cudzoziemców, nie wiedząc na jakiej półkuli szukać należy Polski, lub identyfikujących nas z Rosjanami, choć przecież posiadamy świetną przeszłość państwa, ważącego niegdyś na losach Europy i względnie nie tak dawno utraciliśmy byt niepodległy. Sądzę, że losy Słowaków tembardziej powinny nas interesować, że obecne ich położenie przedstawia wiele analogji z naszą dolą.

Słowacy zamieszkują od lat przeszło 800 północną część Węgier, góry Karpackie i ich odnogi głównie między Dunajem a Cisą. Rozsiani są w 13 Komitatach, najgęściej w półn. wscho-

dnich, zwłaszcza w Trenczyńskim, Orawskim, Liptowskim, Turczańskim, Nitrzańskim i Spiskim, gdzie stanowią przeważną część mieszkańców. Węgrów uważają za najeźdźców i największych swych wrogów.

Pod względem narodowości i języka stanowią z Czechami i Morawianami jedną gałąź pnia słowiańskiego i podobno ze wszystkich plemion najwierniej przechowali typ starosłowiański.

Ilość Słowaków niewielka, jest ich około 3.000.000. Przytem wielu zmadziaryzowanych, gdyż ruch narodowy wśród nich rozpoczął się w całej pełni zaledwie kilkadziesiąt lat temu.

Zamieszkują oni kraj górzysty, poprzerzynany wielu rzekami, śliczny i wesoły. Nadaje się on bardzo do turystycznych wycieczek, tembardziej, że leży w środku Europy. Dowiedziawszy się o polskiej wycieczce na kongres do św. Marcina Turczańskiego, stolicy walczącej Słowaczyny, skorzystałam ubiegłego lata ze sposobności poznania bliżej tego uroczego zakątka.

Tor kolejowy biegnie ciągle wzdłuż Orawy, następnie doliną Wagn. Po drugiej stronie rzeki łagodne pasma wzgórz. Wogóle okolica prześliczna.

W połowie drogi zatrzymaliśmy się dłużej na stacji Arva-Varalia dla zwiedzenia znajdujących się niedaleko słynnych zamków Orawskich, które służyły nieraz jako temat do obrazów naszym malarzom! Wspomina także o nich Żeromski w „Popiołach”, uwięziwszy w nich Rafała. Zamki te, a właściwie trzy części jednego zamku pochodzą z różnych epok, najstarsza i najstarsza zbudowaną była w w. XII. Przechodziły one rozmaite koleje, znajdowały się w rękach wielu magnatów węgierskich. Niedawno przeszły na własność rządu węgierskiego, który kosztem 3.000 000 koron doprowadził je zewnątrznie do dawnego świetnego stanu. Zbudowane są one w 3-ch kondygnacjach na różnej wysokości skałach, omywanych z trzech stron Orawą, za którą ciemnieją w dali góry i lasy. Widok z glorjetki, umieszczonej na szczycie najwyższego zamku, wprost nieporównany. W zamkach tych jednak wewnątrz niewiele pozostało z daw-

nej świetności. Jest kilka znakomitych portretów dawnych właścicieli i garść starożytnych mebli, w pokojach na dole rodzaj muzeum etnograficznego okolicy.

Z Arva-Veralii dojechaliśmy koleją do Ruttki, a stamtąd końmi milę do św. Marcina Turczańskiego. Uroczystości słowackie czyli tak zwane „slavnosti martińskie” odbywają się rokrocznie 2, 3 i 4 sierpnia. W tym czasie co roku zjeżdża się tam cała inteligencja słowacka: księża katoliccy i ewangeliccy, posłowie, lekarze, adwokaci, nauczyciele i t. d., aby się zobaczyć, poinformować nawzajem, naradzić, poznać i dodać sobie otuchy do walki ze strasznym terorem madziarskim.

Św. Marcin Turczański jest starem i największym miastem słowackiem, jest siedzibą domu narodowego, księgarni, redakcji słowackich pism i wydawnictw. Największą jednak ozdobą miasta i dumą słowaków jest muzeum narodowe, gdzie się mieszczą wszystkie ich historyczne pamiątki i inne bogate zbiory. Zgromadzone są tam okazy przemysłu ludowego, misterne wyroby garncarskie, prześliczne stroje ludowe składające się dla kobiet z kolorowych spódniczek, gorsecików i koszulek z ogromnymi bufiastymi rękawami bogato haftowanymi (Hafty te to prawdziwa specjalność słowaczek). W muzeum tym dalej znajdują się okazy fauny i flory miejscowej nadzwyczajny okaz mamutu, wykopany niedawno prawie w całości, niezmiernie cenny księgozbiór, wogóle wszystko co odnosi się do ich historii i kultury. Tem bardziej należy podziwiać bogactwo zbiorów, że nanowo zgromadzone są bardzo niedawno, gdyż lat temu kilkanaście Węgrzy całe takie muzeum skonfiskowali i przewieźli do Buda-Pesztu. Obecnie muzeum w sposób prawny zabezpieczono przed konfiskatą—stanowi jakoby własność prywatną. Chłuba to ich zupełnie słuszna, gdyż jak stwierdzili uczestnicy polskiej wycieczki, pochodzącej z pod 3-ch zaborów, że nic podobnego niema nawet na ziemiach polskich, przewyższających ich tak bardzo kulturą.

W roku bieżącym na zjazd słowacki przybyło przeszło 800 osób. Nie wielka to liczba, jeśli zważymy, że to prawie cała

ich inteligencja. Uroczystości rozpoczęły się d. 2 sierpnia po południu. Starzy działacze, redaktorzy i politycy odbyli poufną naradę w sprawie sytuacji politycznej. Młodzież zaś słowacka miała swoje obrady, gdzie zdawała sprawę z czynności na uniwersytetach w Buda-Peszcie, Koloszwazie, Preszburgu i Pradze, gdzie studenci słowaccy uczęszczają. Obecnie mają Słowacy przeszło 80 akademików narodowców, przyznających się otwarcie do narodowości słowackiej. Przybyło ich na zjazd około 50 z całych Węgier. Są to przeważnie młodzi fanatycy, którzy wcześniej hartują się do walki. Narady polityków i młodzieży były poufne, konspiracyjne, pod ciągłym strachem wtargnięcia żandarmów węgierskich.

Wśród przybyłych na zjazd wybitne miejsce zajmowali posłowie Juryga, Skiczak i dr. Blaho, nadto wybitni działacze ks. Tomanek, Bajor, Miszík, Oswald Rychard, Medwedecki pisarz słowacki, Hanuszka, Mnohel pisarz ludowy, Jamborski, dr. Iwanika, dr. Mudroń, Halasza i wielu innych.

Wieczorem odbyło się w sali teatralnej domu narodowego amatorskie przedstawienie sztuki ludowej p. t. „Wiejska żona“ czyli „Sedliacka Nevesta“ napisana przez redaktora Pawła Sochania. Sztuka trochę demagogiczna przedstawia ujemnie słowackich ziemian, bogatą szlachtę, która się wynaradawia, mądziaryzuje i lud wyzyskuje. Amatorzy grali doskonale, co przypisać należy wielkiemu wyrobieniu i zgraniu się, gdyż teatru stałego słowacy nie posiadają, tylko amatorzy wystawiają sztuki co 2 tygodnie,

Na drugi dzień odbyło się roczne zebranie Towarzystwa muzealnego: „Valne shromaždenie Muzealnoj slovenskej spolčnosti“, jedynego towarzystwa legalnego, które skupia wszystkich działaczy, dając firmę i wielu innym pracom.

W południe zwołały zebranie kobiety, należące do oświatowo-ekonomicznego towarzystwa „Živeny“. Zebranie to robiło dodatnie wrażenie zapalem dla sprawy i solidarnością wszystkich kobiet, należących bez różnicy przekonań do tego pożytecznego towarzystwa. Członkiń liczą około 300, co na stosunki

tamtejsze jest liczbą imponującą. Pragnęły one otworzyć szkołę gospodarstwa wiejskiego dla kobiet, lecz mimo wielkich starań nie mogą uzyskać pozwolenia. Zwróciły także uwagę na hafty kobiet słowackich, mogące stanowić przy rozwoju tej gałęzi przemysłu ludowego prawdziwe ich bogactwo.

W południe odbył się wspólny obiad przy licznym udziale gości. Wygłoszono szereg mów bardzo ostrożnych, ponieważ przedstawiciel władzy był obecnym na sali i każde słowo notował. Na estradzie po każdej przemowie ukazywały się chóry (włościańskie, akademickie, dziewcząt wiejskich i inne) lub orkiestra dla wykonania pieśni narodowych. Hymn narodowy słowacki odśpiewano na nutę pieśni legionów. Wysłuchaliśmy go stojąc, jak również hymnu polskiego na cześć Polaków, których serdecznym przemówieniem przywitał dr. Mudroň. Jeden z cieszyńskich gości podziękował gorąco za przywitanie i złożył hołd pracy narodowej słowackiej. Z innych mów wyróżniała się jeszcze przemowa delegata Rusinów, który z niezwykłą swadą i zapalem przemawiał w imieniu narodu ruskiego.

Na zjeździe tym jedno bardzo uderzało. Przybyli księża katoliccy i ewangeliccy, którzy w największej harmonji i zgodzie wspólnie radzili i bratali się. To samo ludność świecka. Wogóle Słowacy mimo tego, że jedni są katolikami, inni ewangelikami nie znają sporów i różnic wyznaniowych. „Byłoby lekkomyślną zbrodnią — mówił ks. Tomanek, katolik — gdybyśmy jeszcze pozwolili sobie na rozterki wyznaniowe. Wspólna niedola nas łączy. Niech będzie katolik czy luter, byleby był Słowakiem“. To zdanie podzielają wszyscy Słowacy. I to jeszcze należy zaznaczyć, że księża wogóle prawie bez wyjątku należą do najwybitniejszych i najpracowitszych działaczy. Świeżo po dwuletnim więzieniu za działalność narodową przybył na zjazd jeden z księży, brał udział w obradach i przemawiał zawsze z największym zapalem i wiarą w przyszłość słusznej sprawy.

Wieczorem we środę odbył się bal, trwający do rana. Uderzała dziwna ochota do zabawy. Młodzież męska ani na chwilę nie opuszczała sali, tańcząc lub rozmawiając ciągle z oży-

wieniem. Wszyscy robili wrażenie nie zepsutych zabawami, korzystających ze sposobności, aby z całej duszy się bawić. Najwięcej tańczono polkę, którą również bal rozpoczęto. Na zakończenie kontredansa, w miejsce galopki tańczono czardasza, o uroku którego słabe się ma pojęcie, widując go tylko na scenie w teatrze. Stroje były najrozmaitsze, lecz balowych niewiele, fraków wcale widać nie było.

Wszystkie uroczystości koncentrowały się w „narodowym domu“, zbudowanym ze składek. Napis „narodowy“ rząd węgierski skonfiskował, pozostał więc tylko napis „Dom“. Powiewały na nim tylko flagi o barwach węgierskich, słowackich również zabroniono. Na dole mieści się restauracja, na którą długi czas nie dawano pozwolenia. Wreszcie po długich staraniach uzyskano je, lecz pod warunkiem, by dzierżawcą był węgier, żyd lub ktokolwiek inny byle nie słowak.

Na zakończenie uroczystości zrobiono wycieczkę w pobliskie malownicze góry.

Język słowacki podobny do czeskiego, łatwo zrozumieli, tembardziej dla nas, znających i drugi język słowiański. Dla przykładu przytaczam piosenkę, śpiewaną przez druciarzy słowackich, których często u nas spotykamy:

Já som dobrý remeslník
z tej trenczanskej stolice,
po miestach i po diedinach
chodim drotovať hrnce.
Tu mňa vsude chceju mieti,
kde majú hrnczek rozbity.

Od czasu gdy reformacja wprowadzoną została na Słowacyznę przez husytów-czeskich datuje się przewaga języka czeskiego, pod którego wpływem wzrastała zwolna i literatura słowacka. Dopiero w nowszych czasach zaczęto wprowadzać do literatury rozmaite narzecza mowy ludowej słowackiej.

Zaznaczyć jeszcze należy, iż mimo ucisku Węgrów oświata wśród Słowaków stoi wysoko.

Szkół, wprawdzie z węgierskim językiem wykładowym, mają dostateczną ilość i procent analfabetów jest już bardzo nieznaczny.

Zjazd w Św. Marcinie Turczańskim był przeglądem sił i pracowników słowackich i jako taki wypadł świetnie. Nie załamują rąk, nie rozpaczają, lecz twardo i mocno stoją przy swojej narodowości i nawet pod okrutnym obuchem madziaryzacji nie upadają, idąc mimo wszystko naprzód solidarnie i zgodnie. Nawet reprezentant socjalnej demokracji słowackiej oświadczył w czasie bankietu, że ich stronnictwo idzie i pójdzie zawsze zgodnie z inteligencją słowacką w walce o prawa narodowe Słowaków. Wielka w nich solidarność i wielkie poczucie jedności wobec wspólnego wroga.

Zofja Turczynowiczówna.





Z cyklu: „MORZE“.

===== Z NADZIEJĄ.

Z nadzieją puszczaj łódź twą na ocean życia,
Chociaż niebo nad tobą szare mgły rozsnuwa,
Nie lękaj się przedwcześnie nieszczęść i rozbicia
Wierz, że wyższa opatrność ponad tobą czuwa.
Pruj fale z całej siły zawsze, zawsze śmiało,
„Naprzód“ niech takie hasło głosi twa bandera.
Kto wiarę nosi w sercu i ma dłoń wytrwałą,
Ten najprędzej do celu podróży dociera,
Na cóż zda się zwątpienie, kiedy płynąć pora,
Płynąć zawsze przed siebie, zwątpienie-upiora
Precz odrzucić, ono wrogie i ciału i duszy;
Niech bandera twa w górze powiewa wesoło
Zwyciężysz i dopłyniesz, burzom stawisz czoło
Dłoń twoja grzbiety morskie i przeszkody skruszy

Władysław Karoli.





Z cyklu: „MORZE“

Tajemnicę pragnień...

Tajemnicę pragnień moich całą
W wielkiej morskiej utopię głębinie,
By jej oko ludzkie nie ujrzało,
Niech na wieki przepadnie, zaginie.
Żądań, których nikt nie zaspokoi,
Marzeń, które nie staną się czarem,
Już nie będę nosił w piersi swojej,
Bo dla duszy będą wciąż ciężarem.
Rzucam, płynąc z nową wiarą—siłą,
To, co w życia dniach się nie spełniło,
Wielką czarę pragnień niespełnioną,
Rzucam, płynąc naprzód na przestworza,
Rzucam w wielkie, sine, fale morza,
W wielkie morskie tajemnicze łono!

Władysław Karoli.



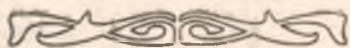


Z cyklu „MORZE“

Pożegnanie.

Rybaczko młoda i swawolna
Ku mnie, ach, ku mnie zwróć swój wzrok,
Spojrzeniem swoim jesteś zdolna
Rozproszyc burzy ciemnej mrok! .
Jutro, gdy zbudzi łąd świtanie,
Ruszam daleko, z blaskiem zórz,
Spójrz na mnie, spójrz na pożegnanie,
Nie będę bał się fal i burz!
Niech w dal uniosę spojrzeń czary,
Rybaczko piękna, żegnaj mnie,
Od San Stefano do Chiavari
Niema piękniejszych ocząt, nie!

Władysław Karoli





Urywki

ze wspomnień etapowych.

... Wieczór o godzinie 7-ej, wyprowadzono nas, oczekujących już od dwóch tygodni swej kolei wysłania, z dusznych, przepełnionych aresztantami cel więziennych i ustawiono wszystkich na podwórzu więzienia, gdzie już oczekiwał na nas rozstawiony kołem konwój żołnierzy z bronią w ręku i zapalonymi pochodniami.

Wpędzono nas w środek tego koła, które zamknęło się za nami, tworząc dokoła pierścień z żywych ludzi, którzy z bronią na pogotowiu bacznie zwracali na nas uwagę, obrzucając powierzonych swej pieczy więźniów surowymi spojrzeniami.

Po chwili, do środka owego kręgu wszedł oficer, naczelnik konwoju, otoczony służbą więzienną i po sprawdzeniu tożsamości osób i dokumentów więźniów, począł osobiście robić rewizję, mierząc każdego z nas od stóp do głów zimnem i ostrem, jak błysk stali, wejrzeniem. Po szczegółowym przetrząśnięciu wszystkich naszych rzeczy, które mieliśmy na sobie, jak również i ubogich zawiniątek naszych, z których powyrzucano wszystko na bruk więziennego dziedzińca, rozkazano nam przyprowadzić do porządku porozrywaną rękoma rewidentów garderobę, zebrać do tłumoczków porozrzucane rzeczy i ustawiono nas rzędem po czterech, razem obok siebie po dwie, skute jednym łańcuchem, pary.

Na czoło „partji” wysunięto skazanych na katorgę, za nimi umieszczono „osiedleńców”, dalej osadzonych w „roty aresztanckie” włóczęgów, przesyłane etapem kobiety i dzieci, a na samym końcu nas, dwóch „politycznych”, wysyłanych na mocy Najwyższego Rozporządzenia w głąb guberni Wołogodzkiej. Cała partja więźniów ubrana była w aresztanckie z szarego sukna „jarmiaki”, od których jaskrawo odbijała się moja lubelska „fijorówka” i bronzowa czamara mojego kolegi. Administracja więzienna i dowódca konwoju nie zmuszał nas do przykrycia aresztanckich naszych postaci „kazionnym” ubraniem i pozwolono nam „jako politycznym” maszerować we własnem odzieniu.

Po uszeregowaniu całej partji, naczelnik konwoju głośno wypowiedział do nas, że „do każdego próbującego ucieczki będzie konwój strzelał ostreimi nabojami i ma prawo zabić na śmierć”. Po tej uwadze zakomenderował: „Nabij broń” — co żołnierze wykonali zwróceniem do nas bokiem, jakgdyby dobitnie chcieli nas przekonać, że przestroga wypowiedziana przez ich dowódcę nie będzie czczą tylko pogroźką, poczem rozległa się komenda: „Konwój naprzód, — aresztanci krokiem marsz” — i cała partja, pogrążając kajdanami, ruszyła z miejsca.

Niektórzy więźniowie znaczą swe czoła znakiem krzyża na daleką i nieznaną im drogę, kobiety i dzieci cicho popłakują, reszta z zaciśniętymi zębami, utkwwszy wzrok swój ponuro przed siebie, tępo posuwa się naprzód.

Brawura i dowcipkowanie, któremi nawet w więziennych warunkach niektórzy lubią się popisywać, znikły tu zupełnie i każdy, zwiesiwszy głowę ku ziemi, jak gdyby go ona ku sobie ciągnęła, myśli o tem, co go czeka w tej obcej krainie, do której go pędzą ludzie uzbrojeni, oświecając mu drogę jakimś nie określonym żółto-jaskrawym blaskiem pochodni, które wydają więcej kopciu i swędu aniżeli światła.

Na ulicy, której środkiem idziemy, przechodnie obrzucają nas ukradkowemi spojrzeniami i przyspieszają kroku, jak gdyby najprędzej chcieli pozbyć się owego przykrego, a dla niektórych — widać to ze spojrzeń — i wstrętnego widoku.

Nie jeden z nich ucieka, może, przeczuwając, że i on niedługo taki sam spacer będzie odbywał, a może nawet, będąc przeświadczonym, że już dawno należy mu się miejsce w pierwszych szeregach etapu, i tylko dzięki okolicznościom wywija się dotąd od 16-to funtowych łańcuchów.

Na niektórych twarzach przechodniów widać i szczere współczucie, rzucane ku nam w wejściu.

Największą sensację budzi moja lubelska sukmana, dola tuje mnie nawet z boku rzucona uwaga: „A to się wybrał, jak na wesele“.

Dochodzimy do stacji Warszawa-Brzeska, skąd powiozą nas dalej.

Zatrzymano nas z tyłu za stacją, zdala od „wolnej“ publiczności i władowywują nas parami do specjalnych aresztanckich, szaro pomalowanych wagonów z zakratowanymi oknami. Po rozsądzeniu nas na ławkach, jedni żołnierze konwoju zajmują miejsca na straży przy drzwiach i oknach, drudzy zdejmują kajdany z rąk aresztowanych, pozostawiają tylko kajdany na nogach „katorżników“, gdyż ci zakuci na nity, będą dźwigać łańcuchy, aż do czasu ukończenia kary lub gdy śmierć sama każe zdjąć kajdany, które prawo na nich nałożyło.

Na miejscach swych musimy siedzieć spokojnie, wyglądać oknami nie wolno, jak również prowadzić pomiędzy sobą głośnej rozmowy.

Gdy pociąg ruszył, do wagonu wszedł oficer konwoju i poinformował nas, że w czasie etapu pobierać będziemy po 10 kop. dziennie „karmowych“, które znajdować się będą u niego i za nie konwojujący nas żołnierze mogą nam kupować jedzenie oprócz napoi alkoholowych i papierosów.

W wagonie pomieszczono nas 52 osoby, nie licząc pilnujących nas żołnierzy, siedzimy więc powciskani, jak śledzie do beczki. My z kolegą, przyzwyczajeni do jazdy koleją Nadwiślańską, nie dziwimy się wcale, że nam tu tak ciasno, wiedząc z praktyki, że nawet „wolna“ publiczność na owej kolei ma zawsze mniej miejsca aniżeli dzisiaj my nawet, jako aresztanci.

Zostałem usadowiony pomiędzy skazańcem na dożywotnie osiedlenie w Syberji i wysyłanym w „aresztanckie rotę“ na cztery lata. Obaj ludzie jeszcze młodzi, pełni sił, zdrowia, aczkolwiek „poderwani“ już trochę pobytem w więzieniach.

Jako pomiędzy kolegami wspólnej podróży i jednakowych warunków niedoli, sąsiadami z jednej więziennie-kolejowej ławy, zawiązuje się pomiędzy nami rozmowa. Zaczepia mnie pierwszy sąsiad z lewej strony, jadący „w rotę“.

— „Panie polityczny“, a gdzież to pana wiozą, za co i na jak długo?

Odpowiadam, że jestem zesłany do Wołogodzkiej guberni na trzy lata i szczegółowo tłumaczę mu za jakie winy.

Wysłuchawszy z uwagą, odzywa się do mnie:

— O, toś pan tęgi „frajer“ żeby się tak „na lewo“¹⁾ nabierać, zrobiłeś pan na tej „polityce“ choć z tysiąc rubli,— co panu z tego przyszło? „Had“²⁾—„hadem“ zawsze będzie, a panieś taki młody i już się zmarnował; bo ja co innego. już drugi raz jadę „w rotę“, ale nie za darmo. Pierwszy raz „zarobiłem“ nie wiele, ale teraz zatłukłem „gudłaja“³⁾, wydusiłem z niego przeszło trzy tysiące rubli i gdy tylko rotę „odduję“ panem jeszcze będę, a panu, „panie polityczny“, cepy się sprzykrzyły i chciałeś pan z „kadiugami“ z rządem wojować; ja tam na miejscu pana nie byłbym taki głupi, ażeby rządowi się sprzeciwić, — alboś to pan nie miał w domu co jeść, czy w czym chodzić?

Po mojej odpowiedzi rozmowa pomiędzy nami urywać się poczęła, gdyż sąsiad mój zajął się kolacją, a ja poczułem, że ze wszech stron oblażą mnie drobne żyjątka, zwane w gwarze aresztanckiej „egipskimi barankami“. Chciałem narazie zająć się ich rugowaniem ze swej osoby, ale przekonawszy się, że to byłaby daremna praca, bo należałoby przedtem wszystkich od tej

¹⁾ Na darmo

²⁾ Pogardliwa, nienawistna nazwa chłopca.

³⁾ Żyda.

plagi oczyścić, jak również i cały wagon; z konieczności losu zdałem się na łaskę i wspaniałomyślność owych powolnych, a niewypowiedzianie dokuczliwych „gryzoniów.“ I jak wszyscy inni, starałem się znieść rekonesanse tej oryginalnej tyraljerki, rozproszonej po całej mej skórze, z istic filozoficznym spokojem.

* * * * *

Po zmianie konwoju w Mińsku, przybyliśmy do Smoleńska. Tu bierze nas w opiekę konwój moskiewski, które odprowadzi nas do samego „centralnego etapowego więzienia“, gdzie się koncentrują skazańcy z całego rosyjskiego imperjum.

Pierwszy raz jedziemy bez oficera, konwojem dowodzi młody, sympatyczny z powierzchowności, „starszy unter-oficer“, po za nim i wszyscy żołnierze wydają nam się jakoś bardziej ludzcy i traktują nas inaczej zupełnie, niż ich poprzednicy. Zwróciło to odrazu moją uwagę i dzielę się nią ze swoim sąsiadem, na co mi ten, jako już doświadczony, odrzekł:

— Żołnierze moskiewskiego konwoju to ojcowie nie stróże,—dlatego też na całą Rosję z pocziwości słyną „konwojni“ Moskwy, a aresztanci, co ich znają, wzdychają do nich, jak do braci rodzonych,—zobaczysz pan sam i przekonasz się o tem; — oni nawet i „artychy“⁴⁾ przyniosą i z „koleżankami“ przy nich „pobawić“ się można.

Jakby na potwierdzenie tych słów do wagonu wchodzi młody „unter“, pełniący funkcję „naczelnika konwoju“ w czapce nałożonej z fantazją na ucho, widocznie „na wiesielji“ (poduchowny) i wita nas słowy: „Zdrastwujcie *bratcy*, tylko radi Boga nie biegitie, a w proczem czort z wami!“

Reszta żołnierzy, zamiast stać u okien, posiadała z nami na ławkach, a na opróżnione przez nich miejsca przy oknach cisną się ciekawi więźniowie. Zawiazuje się z naszymi stróżami dość sympatyczna gawęda.

⁴⁾ Wódki.

Niezdługo pomiędzy więźniami ukazują się butelki z wódką, inni poczynają grać w karty, a na tylnych ławkach wagonu kilku aresztantów „przystawia się“ do jadących z nami kob et; sły chać urwane wyrazy ohydneho targu, tworzy się naprędce jakaś osłona z rozwiniętych „jarmiaków“, po za którą niektórzy „wyprostowywują swe gnaty“ amatorzy rozrywek w całej pełni korzystają z dobroci konwoju moskiewskiego Stróże nasi nie zwracają na to wszystko, co się dzieje uwagi, uponi nają tylko, by „draki“ nie było, bo wówczas będą tłuc bez li tości.

Kilku żołnierzy poczyną śpiewać mocnemi głosami i dość harmonijnie „karobuszkę“, a więźniowie, jak który umie i ma jeszcze do śpiewu ochotę, dopomagają im na rozmaite tony. I tak rozśpiewani, zaopatrzeni w tytoń, niektórzy nawet mocno podpici, zbliżamy się do „zbornego punktu“ Moskwy.

Ja osobiście jestem zakłopotany, gdyż kolega mój „polityczny“ zmordowany etapem, ciężko zachorował i przy pomocy usłużnego żołnierza ratuję go jak mogę, byleby bodaj jako tako dowieźć go do Moskwy.

Rano przybywamy na ogromny dworzec kolejowy; wyprowadzają więźniów uprzednio pokutych na parę na plac, formują ich w szeregi i pędzą przez miasto.

Ponieważ do partji naszej z Warszawy przyłączyli po drodze jeszcze parę innych, przeto dzisiejszy etap liczy kilkuset ludzi, których otoczyło stu pięćdziesięciu żołnierzy.

Nas dwóch „politycznych“ wpakowano do środka „czarnej karety“, razem z nami usiadło dwóch żołnierzy z rewolwerami w rękę i ruszyliśmy ostro po moskiewskim bruku.

Po półgodzinnej jeździe kareta zatrzymała się przed bramą olbrzymiego więzienia, otoczonego wysokim murem, złożonego z kilkunastu pawilonów, które, jak nas poinformowano, mieszczą w sobie 40,000 aresztantów, skazanych na rozmaite kary, którzy tu oczekują swej kolei do wysłania na miejsce pokuty, gdyż więzienie to jest tylko „przesyłkowe“, ponieważ mie-

ści się ono w dzielnicy miasta zwanej „Butyrki“, przeto zowią je „butyrską tiurmą“, urzędowa zaś nazwa jego jest: „Moskowska Cienralnaja Pieresylnaja Tiurma“.

Rozwarto przed kareta bramę i wtoczyliśmy się na ogromny więzienny dziedziniec, na którym po za pawilonami mieszczą się łaźnie, kuchnie, piekarnie i cerkiew.

Ze wszystkich okien wyglądają tysiące aresztantów, witają nas okrzykami i machaniem wyciągniętych z za krat okiennych rąk..

Jest to widok, który z sobą zaniesie się do grobu.

Nieszczęśliwi witają nieszczęśliwych...

Na czterech rogach olbrzymiego muru wznoszą się wysokie baszty, w jednej z nich, w której niegdyś przed straceniem trzymano słynnego Pugaczewa i dlatego zowią ją „pugaczewską“ uwięziono nas, a w niej zastaliśmy umieszczonych przed nami dwudziestu innych „politycznych“, którzy czekają na kolej etapu, aby wysłano ich dalej na miejsce przeznaczenia. Owa baszta obrócona jest specjalnie na więzienie dla politycznych przestępców, a także same przestępczynie więzione są w wieży przeciwległej, która „północną“ się zowie.

„Wieża Pugaczewa“ ma specjalny nad sobą nadzór więzienny, na czele którego stoi niezwykle sympatyczny starszy „nadziratiel“, dziś już staruszek, który przez kilka dziesiątków lat na tem stanowisku przetrwał; przez ręce jego szli jeszcze „narodowolcy“ i jak sam mówi,—witał on w tej „Pugaczówce“ i żegnał tysiące przedstawicieli walczącego z rządem społeczeństwa,—„cały kwiat Rosji przeszedł przez moje ręce i nikomu z nich krzywdy nie uczyniłem“—mówi do mnie sympatyczny staruszek.

A jest to postać niezwykle ciekawa, jest on jakgdyby chodzącą historją ruchów politycznych Rosji za ostatnie lat dziesiątki, jest encyklopedją wszystkich nazwisk, co przez cele tej wieży poszli w światdaleki.. zna ich wszystkich historie, przestępstwa, procesy—i następcom opowiada o poprzednikach, którzy przymusowo gościli w murach jego pieczy powierzonych...

a pomiędzy nimi—jak nam mówił—byli i tacy, co nie jeden raz „Pugaczówkę“ odwiedzili...

Zna wszystkie odmiany politycznych partji w Rosji, ich dążności i różnice programowe; a po za tem wszystkim, jest poczciwy, zacny, prawy człowiek i tylko dzięki nadzwyczajnemu taktowi utrzymał się lat tyle na tej niezwyklej pozycji.

Na małym podwórku przed wyjściem do wieży witają nas serdecznie dzisiejsi mieszkańcy „Pugaczówki“ w liczbie dwunastu. Jest to może jedyne miejsce na tym mizernym padole płaczu, gdzie zacierają się wszelkie różnice i walki partyjne i współzawodnicy, polityczni konkurenci, pozostają li tylko braćmi, darząc się wzajem serdecznością, aby po krótkim tu wspólnym pobycie jedni o drugich wywieźli jaknajlepsze wspomnienie; — tak to wspólne nieszczęście i jednaka niedola, brata i łączy ludzi ze sobą.

Na czele owych dwunastu, jak rzekłem do kolegi, apostołów, stał „towarzysz“ Krochmal, skazany za sprawę kijowskiej socjal-demokracji na pięć lat wygnania do guberni Archangielskiej. On, jako najstarszy wiekiem i przewinieniem, przedstawił nas swym kolegom, na co my wzajem im zarekomendowaliśmy się, mówiąc: co za jedni, jakiej partji, skąd i zacośmy tu przywędrowali. Poczem przeczytano nam regulamin, ułożony przez „Komunę Pugaczówki“ obowiązujący mieszkańców tej wieży i wprowadzono do jej środka.

Wieża ta jest wysoką na pięć pięter, do których prowadzą umieszczone pośrodku okrągłe żelazne schody, a dookoła nich mieszczą się cele, po trzy na każdym piętrze.

Życie prowadziliśmy „komunalne“; pieniężne niewielkie zasoby nasze złożyliśmy do wspólnej kasy, do której również kazaliśmy wpłacać i przynależne nam, jako „politycznym“ „karmowye“ po 15 kop. dziennie (zwyczajni aresztanci w „Butylkach“ dostają tylko po 10 kop.) i za pieniądze pobierane z ogólnej sumy, bez względu na to czy miał kto z nas „kapitały“ w ogólnej kasie; czy nie, sprowadzaliśmy z miasta dla wszystkich obiady, chleb, herbatę i cukier.

Jeden z nas codzień po kolei był dyżurnym, a obowiązkiem jego było: sprowadzanie przez służbę więzienną wiktuałów z miasta, porządkowanie jednej celi obróconej na jadalnię, mycie naczyń stołowych i przygotowywanie obiadu i herbaty.

Cały dzień spędzaliśmy wspólnie na pogadankach, śpiewie, przechadzce po placyku około wieży, gimnastyce, grze w szachy, porobione z białego i czarnego chleba; niektórzy popisywali się deklamacją, mowami, a dwa razy nawet daliśmy dla siebie przedstawienia amatorskie.

Po dwóch tygodniach, tego nie do zatarcia w umysłach naszych pobytu w „Pugaczówce“, którego szczegółów dziś przytaczać nie będę, pewnego poranku wpakowano nas sześciu znowu do „czarnej karety“ i przez Jarosław, gdzie stoczyliśmy ogromną awanturę z tamtejszym więziennym zarządem, powieziono nas hen, na północ.

Do Wołogdy jechaliśmy razem. Mnie z kolegą tutaj wysadzono, a zacnych towarzyszy naszej wspólnej niedoli powieziono dalej. Na pożegnanie uściskaliśmy się serdecznie, łzy zabłyśły w naszych oczach, życzyliśmy sobie i wszystkim, co hen, daleko od nas pozostali — wytrwałości, mocy i lepszej doli... Jakoż zabłysła ona w dwa lata później, lecz niestety, — na krótko...

* * * * *

J. Nakonieczny.

W Miesiącach 19 I 1911 r.





i

Nam ludziom zwykłym, nieszczęścia, biedy, smutek osobiste, wydają się rzeczą tak wielkiej wagi, że po za nimi, niezdolni jesteśmy dojrzeć niedoli milionów, pragnących od życia tak niewiele — tylko chleba, światła, możliwości zarobkowania uczciwą pracą.

Upojeni egoizmem, wszystkiego pragniemy dla siebie, uważając, że się to nam należy, bośmy wielcy, czyści i uczciwi.

Nie chcemy sobie mieć spokoju nawet myśla, że są inni mający, jak każda istota żyjąca, prawo do szczęścia. a wiodący życie pozbawione wszelkich blasków, bo nędza, czy troska nieustanna, głuży w sercach i duszach uczucia szlachetniejsze, tkwiące w każdej istocie normalnej, zalewając jadem goryczy na niesprawiedliwość losu, czy Boga, darzącego hojnie jednych, zapominającego o drugich.

Mało już komu dziś wystarczają katechizmowe zapewnienia, że kto na tym świecie jest nieszczęśliwy — na tamtym znajdzie nagrodę. Naiwne serca i pokorne dusze, rozumieć zaczynają, że jeżeli Bóg jest i stworzył świat, to pragnąć musi, by wszystkie jego dzieci szczęśliwymi były,

W jakiegokolwiek warunki rzucona jest jednostka ludzka, ma prawo do pewnej sumy względnego szczęścia,

które sobie sama wytworzy, gdy stosownie do warunków, w jakich się znajduje, będzie miała to, co jej do szczęścia potrzeba.

Nie w zrównaniu materialnem klas, lecz w zrównaniu ich człowieczeństwa, leży szczęście ludzkości.

Konopnicka oczami ciała i duszy, obejmowała bezmiar niedoli upośledzonych, wielkie jej serce gorzało miłością ku nim, odczuła głębie serc i dusz zbolełych i wołała o Sprawiedliwość i Miłość, objawiającą się w czynach dobrej woli każdego i wszystkich.

Zgasła gwiazda promienna, ale blaski jej wśród nas pozostały i rozświetlać winny mroki dusz naszych, obojętnych dotąd na wszystko, co wychodziło po za granicę naszych własnych interesów.

Każdy naród składać się musi z warstw różnych, ale dopiero wszystkie razem wzięte stanowią o przyszłości narodu. Czyśmy dotąd wszyscy myśleli, że do budowy tej przyszłości narodu naszego, każdy przyłożyć musi rękę, podnosząc warstwy upośledzone nie przez zdawkową jałmużnę, ale przez zorganizowanie pomocy społecznej, dającej to, co do życia niezbędne — światło nauki i pracę.

Czy zawsze pamiętamy, że najlepszym sposobem budzenia szlachetnych pierwiastków w duszach, skrzępych w atmosferze nędzy i głodu jest uznanie i poszanowanie w najbardziej sponiewieranych jednostkach — godności ludzkiej?

Emilia Węśławska.

Wilno 23-go grudnia.





Z I M A.

Czy nie uczuwacie czytelnicy dreszczu na całym ciełe, gdy się obija o uszy wasze polski wyraz: zima?

Ja go uczuвам.

Bo w nim jest coś takiego, co przerażeniem przejmuje, co studzi krew w żyłach, co wizje straszne przez umysł przesuwа.

Coś, czego się nie czuje, gdy się pojęcie tkwiące w tym wyrazie słyszy odzwierciadlone w języku obcym.

Bo porównajmy,

Hiems po łacinie, l'hiver po francusku, l'hiverno po włosku, Winter po niemiecku, winter (uinter) po angielsku, jakże to wszystko brzmi słodko i niewinnie.

A zima?

Zdaje mi się, gdy usłyszę ten wyraz, że siedzę w nieopalonym pokoju, przy wybitych szybach w oknie i, patrząc na śnieg, pokrywający drogi i dachy, drzę na całym ciełe, jak liść osiny.

Tak mi się zdaje.

Dla czego?

Bo żaden język na świecie, zapamiętajcie to sobie, żaden, nie obfituje w takie wprost niesłychane bogactwo dźwięków, odbijających swem brzmieniem w odnośnych wyrazach, cechy natury.

Już taki niepospolity znawca naszego języka, jak Kazimierz Brodziński zwracał na to uwagę słuchaczy swoich w Uniwersytecie Aleksandryjskim w Warszawie.

! na poparcie swych słów, przytaczał dwuwiersz, któremu podobnego nie posiada ani jeden z języków.

Dwuwersz to ciekawy, a że mało znany, więc nie będzie nie na miejscu, jeżeli go poniżej przytoczę.

Ale chcąc go ocenić, należy wpierw posłuchać komentarza Brodzińskiego.

Otóż twórca „Wiesława“ w jednym ze swoich wykładów unosił się nad bogactwem naszej mowy i nad naśladowczym jej zmysłem, niespotykanym w mowach obcych.

I udawadniał je właśnie tym dwuwierszem, którego wiersz pierwszy dla odmalowania grozy przyrody zawiera dźwięki groźne i ostre, a drugi dla oddania jej słodczy, posługuje się miękkimi i słodkimi.

Zapamiętajcie ten dwuwiersz, i darujcie konia z rzędem temu, kto wam podobny w jakimkolwiek języku świata przytoczy.

Oto on:

Wnet zagrzmi strasznym hukiem trąb dziesięć tysięcy,
Potem głuche milczenie, nic nie słyszać więcej.“

Czy nie słyszycie, gdy się o uszy wasze obija wiersz pierwszy, hałasu i gromu natury, czy nie doznajecie ulgi i spokoju, jakie pod wpływem ciszy i milczenia w duszy się rozpościera, gdy wam przytaczają drugi?

Otóż tak samo jest z wyrazem zima, któremu przeciwstawiają się wyrazy słodkie: wiosna i lato i skoro

ten wyraz wymawiasz, choćbyś nie wiedział, będąc na przykład cudzoziemcem, co on oznacza, czuć musisz, że oznacza coś twardego i srogiego.

Gdyż zima jest twardą i srogą, i jak jeszcze srogą. Kto tego nie doświadczał?

Kto mimo wszystkie uciechy, jakie młodym i starym ona daje, ślizgawki po lodzie i po salonowych posadzkach, jazdy sanną w sąsiedztwo i łowów w lasach i kniejach, nie pragnął jak tylko nadejdzie, by jaknajprędzej minęła, by ustąpiła miejsca wiosnie, zieleni, słońcu?

Kto?

Bo ona jest bezruchem i martwością.

Bo odrywa świat i ludzi od tego, co oświeca i grzeje.

Bo jest symbolem śmierci.

I to dla wszystkiego co żyje, dla wszystkich, którzy myślą i czują.

I nie znajdziesz doprawdy nikogo, ktoby się w niej kochał, ktoby nadejścia jej pragnął, ktoby w niej widział ziszczenie różowych nadziei.

Mimo, niezaprzeczoną poezję smutku, jaka w niej czasami drga, mimo jej posępny urok, jakim opromienia niekiedy wszystko, czego, że się figurycznie wyrażę, swoim kościstym palcem dotknie.

Smutna więc jest zima, ponura i bezduszna, ale potrafi zarazem ona być i okrutną.

Dla tych, którzy tu za wydziedziczonych się uważają.

Którym wiatr wieje zawsze w oczy.

Dla biednych i opuszczonych.

Tych smaga swym biczem bez miłosierdzia.

Wydziera im chleb z ust, z rąk wytrąca pracę, mrozi swoim strasznym oddechem.

Gdy pierwszy śnieg więc na ziemię padnie, gdy wszyscy spoglądamy w przyszłość z lękiem, oni patrzą

w nią z rozpaczą, jak ten wędrowiec w Dantejskiem piekle na straszną bramę, na której widniał dreszczem przejmujący napis: „wy, co tu wchodzicie, rozstańcie się z nadzieją” (lasciate ogni speranza voi ch'entrate).

Więc cóż?

Czy kiedy tak na jej nadejście patrzą, trwożni o los swój i swoich najbliższych, kiedy, widząc zagasające słońce na niebie, czują, że powoli gaśnie w niebie to, co było słońcem ich życia, mamyż my, obficie od nich w środki do walki ze złem zabezpieczeni, przed wrotami, przez które przychodzi ku nam zima, stać tak bezradni o ich dołę, jak stał bezradny o dołę wchodzących do piekła twórca Komedji Boskiej, nie mogący odwrócić przekleństwa upostaciowanego w wyrazach beznadziejnych, które mu w wędrowce jego po świecie łez i niedoli, stanęły przed oczyma?

Nie bylibyśmy chyba ludźmi, gdybyśmy tak postępować mieli, nie biłyby w nas serca, gdybyśmy w tak ciężkich chwilach o sobie samych jedynie myśleli.

Więc ludźmi bądźmy, więc gdy te chwile szybkim krokiem do nas nadejdą, myślimy nie tylko o sobie, wyciągnijmy ręce z naszych ogrzanych dobrze komnat, ku tym, którzy tam w swych biednych i odludnych drżą w głodzie i osamotnieniu.

I czując grozę, jaką w języku naszym ten straszny wyraz „zima“ zawiera w sobie, łagodźmy ją powtarzaniem wyrazu innego, słodszeo i miłszego o wiele, i niech ten wyraz przypomina nam nasz obowiązek względem tych, którzy ludzie jak i my, tak często niestety pozbawieni są o tej porze zwłaszcza tego, co do wyżywania niezbędne jest dla ludzi.

Wyrazem tym, uroczym w brzmieniu, boskim w znaczeniu, jest: „**miłosierdzie**“.

Stanisław Belza.



PRELUDJUM.

Wieczorny mrok idzie cicho polami.

Idzie, a sieje milczenie i rosę.

Przed nim pierzchają trwożliwie ostatnie słońca smugi-marudery, ptactwo umyka, odfruwa wiaterek.

Idzie wyniosły, w woalu szarych opon, surowem okiem w zorzę zapatrzony,—idzie ogromny, bezszelestny głuchy, krokiem zwycięzcy, krokiem wroga świtów. Gdzie przejdzie, wszystko otula się głuszą, kołącą przed nim serca polnych ptaszyn, jętka przysiada na trzinie nieśmiała, pieśń łąk ucicha i milknie korna zbożnych pól modlitwa. Drżą przed nim polne koniki swawolne, a chmurki na niebie ustają w gonitwie. I echo dzwonów roztapia się w dali, a bezszelestny szum jego zawojów zdaje się szeptać przyrodzie *memento*.

On idzie w zorzę coraz niżej, niżej, aż ją przesłania wiotką swą postacią, aż zbladłą gasi w ramion swych obręczy.

*

*

*

Tymczasem w dali, cicho, cichuteńko, by nie dosłyszał skargi cieniów książę.—wzbija się pośród rosy i oparów bezbrzeżne ziemi skrzywdzonej westchnienie.

Do dalekiego, zginionego słońca, do tych wysokich, zgaszonych błękitów... do drgającego, złotego przestworu...

A słońce obcym nieba kręgiem płynąc, słyszy wyraźnie cichy płacz swych dzieci, śle wnet ku nim pierwszą gwiazdkę drżącą. Nie dostrzeże jej ponury zorzy słonecznej gasiciel, nie odwróci wstecz źrenic stalowych, idzie naprzód, jak pasterz zganiać nikłe zórz ostatki. I gdy już przejdzie za luną w pogoni, niebo zlekka lśnić się zaczyna: jedna za drugą złote wschodzą gwiazdy.

I znów spokojnie oddycha pierś ziemi i znów się śmiechem odzywają łąny, od sennych lasów idzie śpiew słowicy: od stawów płynie żabie rechotanie. O! bo te gwiazdy mówią tam z wysoka, że brat ich Słońce, o ziemi pamięta, że wróci stargać płaszczy cieniów rozpięty—bo nie panować zmierzchom na przestworach, a mrokom zwątpień na ugorach duszy.

Julja Dickstejnówna.



★ ★ ★

Lublinowi poświęcam.

Dej ziemi przyszłość i jej pociecha!

.

Jakieś się dziwne zbudziły echa,
O mury świątyni ich głos się łamie,
Może się oswał hejnał na Bramie,
Może pieśń stara z dawnych miejsc leci,
Nad miastem w smierszach stuleci?

Śnać nie pognęli jeszcze strażnicy,
Miarowe kroki słychać z oddali,
W ciemnościach widać kontur wieżycy,
Więc czy się w mieście pożar rozpali,
Czy wieści roznieść po okolicy...
— Śnać nie pognęli jeszcze strażnicy.

Otwarta księga w antej oprawie
I poczet mężów widać na jawie,
Historja gęsta ich ślad tu snaczy,
Więc czy to wiedli żywot tułaczy,
Czy w dostojenstwach—w boju czy w radzie,
Historja okrzętnie ich znak tu kładzie.

I będzie dalej kłaść jeszcze okrzętniej,
Wszystko opisać i upamiętni,
Każdą ofiarność w zasług honoru,
Każde światelko, co smutnie płonie...
Każdy brzoach, co się rodzi w ciemnicy...
.
Śnać nie pognęli jeszcze strażnicy... —

Bol. Sch. Wol.



ON.

Choć nie pracuje i zbija baki,
Chciałby się dorwać do chleba kromki,
I to najmilszem jest jego hasłem,
By jeszcze była do tego—z masłem.

ON A.

Że robić nie chce nic a nic,
Tylko zajmuje się krasą lic,
Nie przejdzie nigdy przez nudy płot,
Nawet w wygodnych jupe-culotte.

Bol. Sch Wol.





Z teki aforyzmów i epigramatów.

Remedium na oszczerców.

Idąc przez życie, pełne katuszy,
Gdy cię zaskoczą złych panurgów stada,
Jedna jest rada: zatkawszy uszy,
Pozwól tej zgrai, niech jak pies ujada,
A ty krocź dalej z pogardą dlań w duszy.



Różne ideały.

Gdy duch nasz wolny, pełen sił, zapału,
Pragnie, poznawszy swe drogi i cele,
Wznieść się do wyżyn, w sfery ideału,
— „Retro!” — wołają światła gasciele,
Nie dziw, gdyż czerń ta, z wszelkiej czci wyzuta,
Swym ideałem ma kult jeno... knuta!

Konrad Zaleski.





MATKI.

Ma lat cztery: niańczy swoją dwuletnią siostrzyczkę. W ósmym roku życia już zajmuje się całym gospodarstwem. Ojciec, matka w robocie — na jej głowie rządy w zimnej, wilgotnej „izbie piwnicznej“.

Kończy lat 10: zastępstwo jej obejmuje młodsza siostrzyczka; ją oddają na naukę do pracowni sukien, okryć, bielizny, gorsetów lub kapeluszy.

Terminatorka...

Ma uczyć się szyć: zrobi kilkadziesiąt ściągów, już starsza panna albo majstrowa, albo bezpośrednia zwierzchniczka, która ze „zdolnych“ wysyła, ją za sprawunkiem.

Pół roku mija: jeszcze nie umie listwy przyszyć. Zaledwie zacznie robić postępy, przychodzi nieszczęście: — rozchorowała się młodsza siostra, która zastępowała w domu ją i matkę, — musi rzucić budę i wracać na stanowisko gospodyni — pielegniarki — wychowawczyni.

Ma lat 11: czytać, pisać albo nie umie wcale, albo nauczyła się dorywczo trochę od tej, trochę od tamtej „dobrej“ pani, którą poznała przypadkiem.

Co zdobyła sama, tem podzieli się z młodszem rodzeństwem. Poszturchując Józka, Frankę, Maryskę, duka z niemi pierwsze litery alfabetu.

Kilka tygodni mija: młodsza siostra wraca do zdrowia i obejmuje ster „piwnicznej izby“, — jej, starszej, znowu wolno terminować.

Straciła dawne miejsce: musi szukać nowego; w sezonie martwym czeka miesiącami na nie, aż nareszcie znowu, jak przedtem, w międzyaktach posyłek — chaos dorywczej, bezprogramowej, łataniej gdzie się da i jak się da nauki szycia..

.

W rodzinach, gdzie na kilku chłopców jest jedna dziewczyna tylko, — los jej wyznaczony z góry: niańczy, karmi, gospodaruje, dopóki nie rozlecą się wszyscy, t.j. nie pójdą do rzemiosła bracia, nie umrze w szpitalu matka, nie zmarnieje w pijanistwie ojciec.

Co jej zostaje wówczas?..

Służba. Przewłóczy się z miejsca na miejsce—niedouczone popychadło: jedna pani pokaże jak sprzątać, druga—jak gotować,—żadna nie ma cierpliwości lub... czasu na prawidłowe jej wykształcenie. Jeżeli zdolna i sprytna, rozwinie się sama, — mniej rzutki, niezaradne lecą na dno otchłani.

.

Terminatorki i szwaczki, zaczynając zarobek swój od 1 rb. 50 kop. do 2 rb. miesięcznie, po kilku latach zaledwie dochodzą do upragniczej sumy 6-ju, 7 rb. na miesiąc.

Z anemią w rozwijającym się słabo organizmie, z chronicznym cierpieniem nerek lub nadwerżeniem kręgosłupa (skutkiem przedwczesnego dźwigania), idą w życie te, od kolebki przemocą losu osaczone, matki-niewolnice.

Marzeniem ich—wyzwolenie od pracy przez zamążpójście.

Gdy ideowy ruch kobiecy, jak na twardej opoce, oparł się na żądaniu materialnej niezależności mężatek, a zatem—na obowiązkowym ich zarobkowaniu, biała murzynka z piwnicznej izby od 15-go roku życia już śni o ciepłynie, widnym kącie przy boku męża, któryby ją uchronił od wyrobniczych dniówek.

Nie wyjść za mąż do lat dwudziestu paru — ciężkie pohańbienie dla niej.

Złoty sen przechodzi w zjawę: panna Frania staje u ołtarza z oblubieńcem, który na ślubną karetę, ślubny tużurek i ślu-

bne obrączki zapożyczył się u żyda. Trzeba dług spłacać, więc młoda pani szyje po dawnemu, a jak na nią niegdyś, tak później na drobne rączęta jej małoletnich córek spada ciężar obowiązków niańki, gospodyni, matki.

Jak niegdyś ona, tak po latach dziecko jej pójdzie w świat z anemią i skrofułami we krwi, z zarodkami gruźlicy w płucach bezkrwistych.

.
.
.

Co w krajach o najwyższej kulturze robi się dla matek-robotnic i dla dzieci-matek?..

Sieć żłobków, szwalni, ochron opasuje najdrobniejsze miasta, miasteczka, wsie i osady Niemiec, Anglii, Francji, Szwajcarii, Danii, Szwecji, Norwegii. Znajduje w nich przytułek drobniak, skazany gdzieindziej na niedołęzną opiekę małoletnich. Powstają domy, hotele i gmachy współdzielcze, gdzie zawodowo wyćwiczone wychowawczynie zajmują się dziećmi robotnic, a kuchnia, wspólna dla kilku lub kilkunastu rodzin, oddana jest pod kierunek odpowiedzialnych gospodyń.

U nas, do wyjątkowo szczęśliwych należą te dzieci proletariatu, które zdołają skorzystać z niewielu instytucji dobra publicznego, jakie mamy dla nich.

Zdjąć brzemię matek z nieletnich Kasięk, Franek, Józiek, na to trzeba setek tysięcy żłobków i ochron w kraju całym, a liczba ich, w tej chwili, kto wie, czy sięga tysiąca?..

* * *

„Jest w orszaku ludzi polskich genjusz lotny,
jest od przemocy zamęczona czcigodna wola.

„Są ludzie nowotnej Polski o duszy niebiańskiej,
motyle cudnoskrzydłe rodu człowieczego, kwiaty cudowne w rubasznem pustkowiu“.

Żeromski—„Duma o Hetmanie“.

Przeżarty anemią organizm dziecka matki tli się niekiedy myślą, która dokonywa cudu. Nie zmoże jej udręczone ciało, nie zdusi krew zbiedzona. Cichy, skulony płomyczek, za najlżejszą podniechęć, rozpala się kwiatem ognistym.

.

Przyszła do mnie — jedna z tysięcy. Historia jej, jak innych, jak jednej z tysięcy Dziecko-matka, później dziecko-pracownica: podręczna, „zdolna“...

W oczach pełno łez, na wargach bezkrwistych drżenie lęku, niepokoju, zmięszania.

— Trudno mi żyć dłużej... tak chciałabym, tak pragnęłabym...

Długi szloch i spazmatyczne wstrząsanie. Wreszcie krótkie, nerwowe:

— Tak chciałabym... uczyć się!.

Dano jej naukę, a wtedy szła po nocy, żeby zarobić na życie dla siebie i matki; dniem chodziła do szkoły — głód myśli przeżył wołą bezkrwiste ciało.

Skończyła szkołę i—otworzył się raj: zamiast szyc, mogła sama uczyć...

Została nauczycielką ludową: urodził się drugi człowiek; na ustach róże wykwitły, słodkie szare oczy śmieją się do ludzi...

Znam inną: hafciarka.

Co niedzielę z przedmieścia miejskiego, wstając o 6-ej rano, przychodzi do szkoły.

— Pani bardzo zmęczona?—pytam kiedyś, patrząc w przygnione jej oczy.

— Tak, trochę...

Wkrótce poznałam jej dzieje.

Straciła matkę i była wychowawczynią młodszego rodzeństwa, a przytem pracowała na siebie. Od trzech lat nie kładzie się wcześniej, jak o 2-ej w nocy, a wstaje przed 6-tą, biorąc

podwójną ilość roboty, żeby móżdż opłacić wpis za siostrę na pensji.

— Ja nie mogłam się uczyć, niech ona korzysta...

Jedyną jej troską, że siły mogą ją zawieść, że padnie, nim przeprowadzi małą swą wychowankę choćby przez pierwsze cztery klasy tylko...

Znam jeszcze inną: odmawiając sobie wszystkiego, uczy się nie tylko sama, ale dopomaga w nauce nawet dalszemu rodzeństwu: siostronom, braciom ciotecznym... taką przemoc nad głodem ciała ma głód myśli...

* * *

„Czy nie czujecie, że *coś się robi*, że w milczeniu dojrzewa, nabrzmiewa, tężeje jakieś narodowe jądro, dzieją się dziś rzeczy olbrzymie w ludzie, zmienia się psychologia i struktura polskiej wsi, narodził się potężny, świadomy działacz historii w polskim robotniku?”

Brzozowski—„Legenda młodej Polski”.

Gdy panny z t. zw. „dobrych domów”, zmuszone do zarobkowania, chwytają co pierwsze z brzegu: posadę w biurze, w sklepie, w telefonach, lekcje na mieście, korektę, tłumaczenia i węgietują z dnia na dzień w tej pracy, oglądając się na męża, któryby je od niej wyzwolił,—między tą grupą rzemieślnic, której nie zdołało przydusić jarzmo od kolebki, jest siła, rwąca je po za szare udeptane ścieżki.

Znam introligatorkę: przy warsztacie od 8-ej do 8-ej; w tygodniach przedświątecznych, prócz dnia, noc robocza.

Pracując tak, przeszła kurs szkoły elementarnej, skończyła kurs buchalterji, bierze lekcje języków, żeby z czasem — ciężką pracę fizyczną, której nie jest w stanie podołać organizm, zmienić na pracę umysłową.

Znam inną: „zdolna” krawcowa. Tęga głowa matematyczki. W szkole, do której chodziła dorywczo, o ile nie potrzebo-

wała niańczyć młodszych siostr i braci, wyróżniała się bystrym, trzeźwym umysłem.

Szycie od świtu do nocy przytępiło pamięć i szybkość refleksji, został jednak poryw, stawiający przed nią ideały zawodowego wydoskonalenia. Po robocie, od 9-ej do 8-ej, biegnie na lekcje niemieckiego, żeby kiedyś—jeżeli stanie się cud, który pozwoli jej zdobyć trochę pieniędzy,—móc pojechać do Berlina lub Wiednia dla wyższych studjów krawieckich.

Znam kilka innych: jedna, chodząc do szycia, marzy o szkole froeblovskiej—chce być przy dzieciach, które lubi nad wszystko; druga, też szwaczka, pragnie przejść kurs akuszerji, do której od 15-go roku życia czuje powołanie, bo... na wsi tyle można zrobić dobrego.

Trzecia chciałaby zostać ochraniarką itd. itd.

Marzenia ambitne! Zaszywa się je w fałdy spódniczek modnej kurtyzany, gdyż na wyjazd zagranicę trzeba około 150 rb. na naukę froblowstwa od 60—100; na roczny kurs akuszerji—100 rb., na szkołę ochraniarek—100, na seminarjum nauczycielek ludowych—150 rb.

Skąd środki?

Odkładać?...

Jeżeli za 18-o godzinną orkę zdolna spódniczarka lub staniczarka dostaje najwyżej i to w pierwszorzędných zakładach 20 do 25 rb., na które czeka głodne jej rodzeństwo, to cóż mówić o tych, które szyją w drugorzędnych pracowniach lub które nie doszły jeszcze do hierarchji zdolnych.

Dla młodych rzemieślników istnieją jednorazowe zasiłki na studja fachowe zagranicą w ilości 100 rb., wydawanych przez Muzeum pop. przemysłu i handlu. Mała ta suma zwraca się w trójnasób, przysparzając krajowi zastępy wytrawnych pracowników, którzy w robocze środowisko wnoszą kulturę, intensywność pracy Zachodu.

Po za stypendjum muzealnem istnieje fundusz im. H. Krawiewskiego, którego odsetki przeznaczone są na zawodowe wy-

kształcenie synów włościan lub robotników miejskich jest to kroplą w stosunku do morza ogólnych potrzeb, ale jest.

Młodzież rzemieślnicza żeńska niema i tego nawet. Legjony szwaczek, modystek, hafciarek, gorseciarek, kwiaciarek, terminując latami całemi, pozbawione są krzepiącej nadziei zdobycia na zawodowe wydoskonalenie jakiegokolwiek zasiłku.

Nasi mistrze i mistrzynie mód, właściciele wielkich, zbyt-kownych pracowni, wołają sprowadzać krojczynie, kapeluszniczki i t. p. z Niemiec lub Francji, zapewniając im wynagrodzenie pięć razy większe od pensji miejscowych pracownic, aniżeli przeznaczyć stały fundusz na wysyłanie tych ostatnich dla uzupełnienia nauki.

A społeczeństwo?

Sypią się u nas datki najczęściej nie dla celu, lecz dla względów osobistych.

Czyż nie zdobędziemy się nigdy na fundusz dla popierania zawodowego wykształcenia naszych rzemieślnic?

Cecylja Walewska.





Z Concarneau.



Cicho kołysze się toń leniwa
Posnową złotą...
Promienne słońce południa spływa
Z cichą pieszczotą...

Dal mórz, wytkana posnową złotą,
Dzwoni ospale...
Cicho się sieci błękitne plotą
Przez senne fale ..

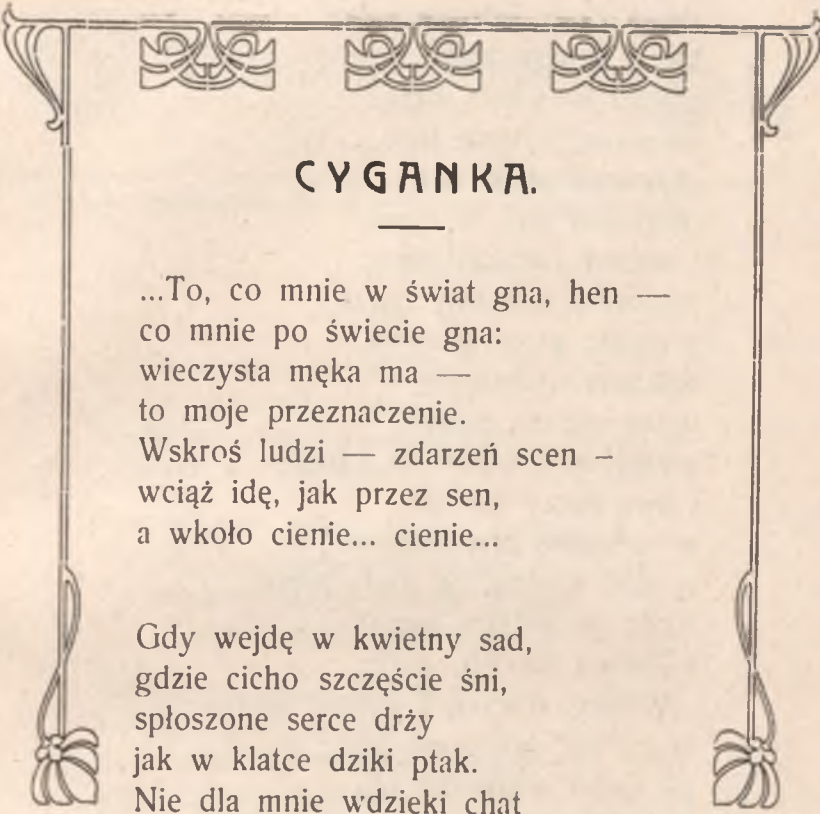
Bań mórz dalekich dzwoni ospale,
Senna... leniwa...
Błękitnych sieci przez fale, dale,
Włóczy się grzywa...

Błękitne sieci... I fale złote...
I sny bez woli...
Słońce rozlewa cichą pieszczotę...

.
Nic już nie boli...

Marion.





CYGANKA.

...To, co mnie w świat gna, hen —
co mnie po świecie gna:
wieczysta męka ma —
to moje przeznaczenie.
Wskroś ludzi — zdarzeń scen —
wciąż idę, jak przez sen,
a wkoło cienie... cienie...

Gdy wejdę w kwietny sad,
gdzie cicho szczęście śni,
spłoszone serce drży
jak w klatce dziki ptak.
Nie dla mnie wdzięki chat
i czar rodzinnych sag,
i jasność cichych dni!..
Nie znoszę szczęścia snów!
Piorunne biją wiatry
w tułacze moje szatry,
perć ma się ogniem pali!
Na wichry puszczam włos
i śpiewam, śpiewam wgłos:
„Hej, dalej, dalej, dalej!..
Na mar, na cudów łów!“

Przez życie, jak przez łani
idę, i depczę kłosy...
ani mi kres mój znan,
nieznane, dziwne losy...
obrywam płatki róż,
piorunem lecę w ciszę
i wieńce ludzkich dusz
porywam w rytmy burz!..
przeorzę gromem serca,
tęsknotą rozkołyszę,
upoję marzeń jadem,
rozśpiewam żalność w scherza
i lecę burzy śladem
w nieznane przeznaczenie,
w ślad wichru, co mnie żenie...
i cóż mi ludzkie serca?
i cóż mi żal ich, cóż?..
...Wskroś zdarzeń i wskroś scen
wciąż idę, jak przez sen...
jak przez widziadeł sen...
A ludzie wkoło — cienie... cienie...
cienie...

Marion.





Nieznana Mogiła.



Na skraju lasu stoi mogiła
Pusta... nieznana nikomu...
Jodła w jej serce korzenie wpiła
Wysysa sok pokryjomu.

Wicher wrywa strzępy darniny
Deszcz kopiec ziemi rozmywa,
Ponury pacierz ciemnej jedliny
Ciszę mogilną przerywa—

Stoi mogiła kto ją i kiedy
Usypał... darnią obłożył,
Czyje tam kości na dnie spoczęły,
Kto je w mogiłę ułożył?..

Czy garść tej ziemi, co pierś przygniata,
Brat sypnął bratu—od serca...
Czy może ręka... oprawcy... kata..
Może najemny morderca?

Ludziska milczą—może nie wiedzą,
Może powiedzieć się boją!..
Mogilę jednak wszyscy szanują,
Wszyscy kochają... jak swoją...

Tylko ta jodła, co pije soki,
Dobyta z złanej krwią ziemi,
Czasem historję smutnej przeszłości
Nuci skargami rzewnemi.

Ona pamięta, jak pieśń bojową
Po borach dęby szumiały,
Jak leśne echa niosły z Dąbrowy:
Krzyk, szczęk, chrapliwe sygnały,

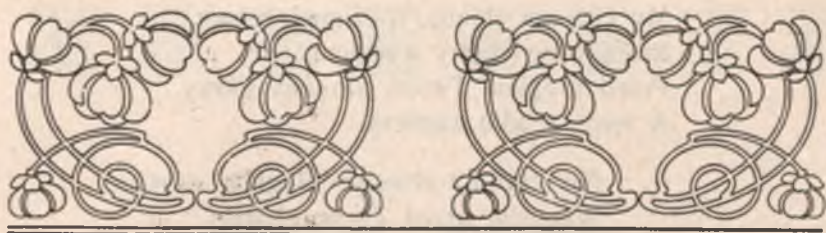
Jęki ranionych, żelaza zgrzyty,
Mordercze strzały, kul świsty
A potem cisza—tentent stłumiony—
I słup na niebie ognisty...

To płoną wioski... to chaty płoną
Tych co spoczęli na wieki
Z żelazem w piersiach, z rozpaczą w sercu,
Z myślą przyszłości dalekiej...

...Śród leśnej ciszy cienie się snują
Szczęk łopat... Szepty tajemne...
I znowu cisza... Las nad mogiłą
Pacierze szepcze w noc ciemną.

St. Staniszewski.





Ojcze nasz w Poznańskim.

Ojcze nasz, Panie, Ty patrzysz z nieba,
Jak lud Twój w bólach się targa,
Jak od łez naszych gorzknieje gleba,
Na ustach zamiera skarga...

My wierzym w Ciebie! Ginąc na ziemi
Królestwa Twego czekamy;
Z jękiem rozpaczy, wiarą zwabieni,
Stajem u progów Twej bramy.

Stoim bezsilni. z pokornem czołem,
Tylko ustami drżącemi,
Wpatrzeni w przyszłość, wtórzymy społem,
Bądź wola Twoja na ziemi.

Bezsilni, głodni, z złamaną duszą
Modły wznosimy do nieba...
Wyzutych z ziemi skargi Cię wzruszą,
Ty ich ocalisz—dasz chleba!

My chcemy chleba, rodzinnej mowy,
Którą wróg chytry wydziera;
Przed progiem Twoim kłonimy głowy,
A serce z bólu zamiera.

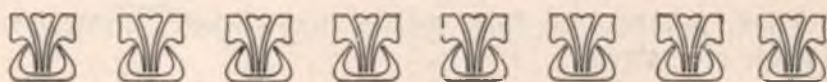
Nie chcemy zemsty błagalne dłonie
Wznosim przed Twoje ołtarze..
Ratuj nas, Panie! Jęź okręt tonie..
Ratuj... Zaponnij o karze!

Zbaw nas od pokus – jak bohaterzy
Niech giniem w imię idei,
Niech idąc na śmierć, każdy w nią wierzy
Trwa w niej wśród burz i zawiei

Zwycięzcy ducha, życiem złamani,
Wierni swej ziemi i Bogu.
Wyrwiem się dumni z ziemskiej otchłani
I stanem u Twego progu.

St. Staniszcwski.





Bezdomna dziecina.

*

Bosonoga, bezdomna dziecina chodziła wzdłuż dróg i wszere pól. Ślepego prowadziła dziada dzień w dzień...

Drobnemi dłońmi starczą ujmowała rękę; od wsi do wsi chodziła dzień w dzień... I było tych dni wiele w jej młodem życiu, oj, więcej niż groszaków w skarbonce...

Nie żałowało dziecko dni swych tułających, ale nawykło do nich w ciężkim swym trudzie...

Umiała mówić pacierze i śpiewać pieśni.

Bała się złych psów i dziedziców, co żebraków odpędzać każą.

Lubiła spać w trawie, gdy było ciepło i kupować bułki w sklepiku.

Miała sukienkę i chuścinę podartą — nic więcej.

Oj, szła sobie, oj, idzie z dnia na dzień.

.

Gdy dziecinę tę spotkacie, powiedzcie jej ode mnie, że znam ją zdawna. Imienia jej nie pomnę... Nie wiem jakie ma oczy i włosy... ale czuję co świtu i co wieczora, że błądzi ona kędyś niepewna swej drogi.

Czy mała jest? czy też już trochę w leciech podrosła?.. także nie wiem, ale płakać muszę w godziny bez-

senne, pomnąc, że śpiąc gdzieś przy drodze, snów jasných nie miewa.

Powiedzieć nie umiem, skąd idzie, bo nigdzie stałej nie miała przystani, ni gniazdka, ni ogniska. A jeśli spytasz: gdzie z płaczem witała życie?--odpowiem tylko, że matki nie zna.

Na piaskach dróg widzę odciski bosych nóg; poznaję: to są ślady żebrzącej dzieciny.

A w nocie dżdżyste i zimne, posłuchaj tylko!.. gdzieś, z mroków idzie płacz drżącej od zimna, a skargą tą noc wezbrane do moich pukają okien.

Kiedy lutnia jaka czy gitara nieśmiało zagra u twych drzwi, wyjrzyj, czy z grajkiem bezdomnym niema dzieciny... bo do tych strun głos jej wynędzniały przywykł, bo łzami jej strojne bywają gęźby!

.

Wy, co dzieciny tej nie znacie i co jej pieśni drzące odpędzać każecie od swych progów... czyli możecie spodziewać się lepszej przyszłości, którą zadośćuczynienie krzywdom przyniesie?

O, dziecię tułacz, przebacz tym, co cię znać nie chcą!

Krystyna Chełmicka.





Ofiarowanie.

▽ ▽

Dzięki Ci składam, Boże,
żeś dla mnie stworzył świat...
żeś dla mnie odział barwą
i wonią każdy kwiat...
żeś dla mnie pozapalał
na niebie setki gwiazd,
żeś obmył rosą srebrną
najnikczemniejszy chwast.

Choć też stworzyłeś na mnie
okropnej kary grzmot
i mgłę szarawą, która
powstaje z mokrych błot
i żmije straszne, w zębach
mające groźny jad —
dzięki Ci, Boże, składam,
żeś dla mnie stworzył świat.

* * *

Ja wzamian tworzę Tobie
melodje słodkich nut.
Każdy tryolet, sonet
do nieba wznoszę wrót.
Każdą piosenkę kornie
u Twoich składam bram
i dla jednego Ciebie
pieśń życia mego gram.

Choć czasem w słowach moich
tkwi gorzki smutku żal,
choć błysną czasem ostro,
jak śmiercionośna stal,
obce im wszelkie brudy
i obca wstrętna pleśń,
więc wzamian za Wszechświaty
przyjm, Panie, moją pieśń.

1. Ejsmond





W gorączce głodu.

O cicha nocy — powiedz
dokąd ja idę?..

Łza moich oczu zastygła perlą
na drzew listowiu
tak ślicznie...
O nocy — daj mi królewskie berło
i daj mi szatę ze złotogłowiu,
białą chlamidę
i runo owiec...

Kroki stóp moich dzwonią rytmicznie,
dzwonią o bruk...
Śpią dziś niebiosy — śpią letargicznie
i zasnął Bóg.

Pójdę na cichy, kościelny próg —
wtulę się cała w kościelne mury,
jak się mchy tulą w kamienny żleb.
Może obudzę Boga wołaniem.
może w progu kamień ponury
moich gorących ust całowaniem
zamienię w chleb...

Usta i zęby zacisnę mocno,
aby nie wyszedł z piersi ten ból,
co targa trzewia —
aby nie zwałił godziną nocną,

nie zwałił jękiem
owego domu, gdzie Pan i Król
wszechświata pali złote zarzewia
wielkiej miłości i harf się dźwiękiem
upaja...

Słyszę, że anioł struny nastraja —
O pieśni graj...
Marzy się duszy wiosenny gaj...
Narcyzy wonią upajające
i wielkie słońce..!

— — — — —
— — — — —
Słyszę rytmiczne stąpanie koni,
słyszę chorągwi rozpiętych szum!
— Idą! ach idą po kwietnej błoni —
olbrzymi... długi... tysięczny tłum!
Idą — ach idą rycerze moi —
na białych koniach, w stalowej zbroi!
Idą przy dźwiękach trąb uroczystych,
w płaszczach powiewnych, jak błękit czystych.
A nad głowami ich zorza wschodnia
rozpiną skrzydła różanych mgławic,
a każdy hełm ich — biała pochodnia!
a każdy miecz ich — ogień błyskawic!
A każdy koń ich, jak fala morza,
której nic w biegu — nic nie powstrzyma!
Oto im drogę otwiera zorza —
oto im wicher proporce wzdyma!
Idą, śpiewając, jak idzie słońce
po nocy czarnej, — jak idą w wieczność
dzwony miłości hymnem bijące, —
jak idzie życiem boska konieczność!

Witajcie — biali rycerze moi!
Niech wam błóń jasna pod stopy stania
swe wonne plusze.

Ach — w ten radosny hymn powitania
rzucam mą duszę!

Idą w pożarach słonecznej zbroi,
w pieśniach rozkoszy, w hejnałach dzwonach.
Idą na górach skalistych łonach
odbić królestwo moje.

Zwyciężą!

Oto się wszystkie ramiona prężą
pragnieniem czynu!

Na górze bliskiej,
w topolach wieńcu, zamkowy dworzec,
jak gwiazda rzuca promienne błyski.
Ach—dzisiaj jeszcze na smukłej baszcie,
co się w powodziach światła uśmiecha,
wionie błękitno-biały proporzec,
moich rycerzy proporzec szumny!

O zorze! nimbem waszym obdarzcie
ich piękne czoła! Niech wszystkie echa
uniosą z sobą ich okrzyk dumny!
Niechaj się struny wichrowe prężą
głosem: Zwyciężą dzisiaj—zwyciężą!

O uniesienia wolnego ptaka,
co z piwnic czarnych leci w przestworze!
O uniesienia bogów, co zorze
paląc, mroki wiosennych znamion
rzucają w ziemi drętwotę starczą.

Wódz jasny, piękny ze srebrną tarczą,
z srebrnymi skrzydłami u mocnych ramion
spiał okrytego pianą rumaka
i woła do mnie bym harfę moją
ujęła w ręce.

Drzę nieprzytomnie
jego słoneczną olśnioną zbroją

i tknięta jego wołaniem wieszczem,
co jako dzwonu głos leci do mnie.
Drżą palce moje — drżą w obląkaniu,
ale ten dreszcz ich na strunach harfy,
podobny wichrów nadmorskich graniu,
hymnem wezbranym bije o szarfy
niebieskich sklepień.

O uniesienia
wolnego ptaka, co gna w przestworze!
O uniesienia bogów, co zorze
krzeszą z rozdartej mgławicy cienia!

Lecą rycerzy moich zastępy!
Lecą mgłą śnieżną — wichurą halną —
mórz obudzeniem — żaru pochodnią!
Niezwyciężeni lecą na skalną
wyżynę ową, gdzie ludzie-sępy,
królestwo moje, wydarłszy zbrodnią,
od wieków długich kują w obroże,
dzwonią w łańcuchy i ostrzą noże...

Lecą — ach, lecą rycerze moi!
A ledwie w kruszec twardych podwoi
swym uniesionym orężem brzękli,
ledwie podnieśli wezbrane głosy,
ledwie rozwiali szumny proporzec,
pierzchli wrogowie — pierzchli załękli!
i opuścili zamkowy dworzec —
i opuścili złowieszcze stosy
nożów i kajdan.

I pierzchli wszyscy
w trwodze śmiertelnej, szalowi bliscy!
nie umocnieni bronią ni strażą —
jako noc pierzcha przed słońca twarzą!

— — — — —

Biją zwycięskim hejnałem dzwony!

Oto mię woła głos uniesiony,
rozkoszą woła na zamek biały!
Idę, a do stóp moich rzucony
leży stos łańcuchów, kajdan, obroży
i depcę po nich stopą zwycięską
w hejnałach dzwonu, w uśmiechach zorzy!
A kwiaty wonne leżą z wysoka
na moją głowę, na skroń męczeńską
i łza, co z mego spłynęła oka —
wielka łza szczęścia — zastyga perłą
na rozszemranych kwiatów listowiu;
a w rękach moich królewskie berło;
a u bark szaty ze złotogłowiu;
a na warkoczach palmowy wieniec.

I niesie dzwon mój wieści radosne,
że dzień ten długą poczyzna wiosnę
i że w granicach mojego grodu
nikt już nie zazna nędzy ni głodu!

A gdy zamkowych sięgam podwoi,
w głos mię witają rycerze moi.
A wódz mój jasny, wódz oblubieniec
w sali przybranej na świetne gody,
przy stole białym, gdzie winne miody
paziowie w modrych szatach roznoszą,
wódz mój w rycerzy moich gromadzie
zbliża się do mnie i zwolna kładzie
na moich ustach, drżących rozkoszą
swe boskie usta...

Drgnęły ramiona...

Gdzie jestem? prawda! na szarym progu.
Miałam tu łzami modlić się Bogu —
i łzami kamień przemienić w chleby —

i tak się wtulić w tych murów łona,
jak się mchy tulą w kamienne żleby.

Czuję na ustach sople lodu,
a w mózgu zimnych kropel ściekanie.
Czuję na ustach pocałowanie
śmierci... Rozumiem — umieram z głodu.

Pan w szacie szytej gronostajami
stanął przedemną i białą ręką
podał mi biały chleb — Dar jałmużny
i dar litości. — Chleb, co się płami
pyłem mej szarej sukni podróźnej
i moich gorzkich... gorzkich łez męką.

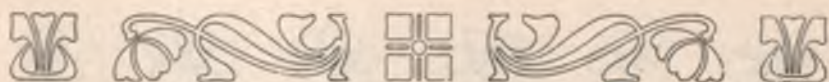
W twarz mu spojrzałam — w tę twarz litośną
i pełną łaski. Czekał spokojny,
iżbym mu do stóp z podzięką głośną
padła i rękę za dar tak hojny
ucałowała.

A u nóg pana
pies kły swe białe wyszczerzał do mnie
i chciał mię kąsać. A chleb kolana
me zimne palił. A wicher charczał
wokoło głowy mej nieprzytomnie
jakąś pieśń dziką...

Psu, który warczał
rzuciłam chleb mój — panu nie padłam
do stóp z podzięką za dar jałmużny,
ale, zwiąawszy tobół podróźny
pod współomdlałą skroń go pokładłam
— i kołysana szumami fali
błękitnej... jasnej.. jęłam śnić dalej.

Anna Sokotowska.





Z cyklu: „ZIMA“.

SAMOTNY KRZYŻ.

Krzyż stoi smutny i czarne ramiona
Poddał na wichru szalone podmuchy,
Który, jak piekiel potępione duchy
Tarza się, jęczy, aż powolnie kona

W polach sierocej, zamarłej przestrzeni.
A nikła, srebrna poświata miesiąca
Nieśmiało, zlekka białe puchy trąca
I skier tysiącem pali się i mieni.

Dusza ma życia oddechem zimrożona
Chociaż pod krzyżem sypie łez korale,
Nie pada martwa, lecz się rwie w oddale.

I choć się wokół złość i rozpacz pieni,
Jeszcze się żądzą walki rozplamieni,
I harda, dumna, wyrywa się z łona!

Janina Zaręba.



Jeżeli z pokrewnej, choć powierzchownie dalekiej
duszy promienieje ku nam szczerą sympatją, nie mroź-
my analizą cennego, a delikatnego kwiecia, wykwitają-
cego na odczuciu tych szczytów, po jakich szybować
byśmy pragnęli.

I. K.



I czy to nie wstyd?

Ubiegłego lata, jeszcze zdrowe, choć od stu lat zębami czasu gryzione, ruiny zamku w Broku nad Bugiem, zniknęły z powierzchni polskiej ziemi.

Pan właściciel hipoteczny—mniejsza o stan i nazwisko—dzieło Firlejów rozebrał na cegły, a Tow. Opieki nad zabytkami choć patrzyło na tę robotę wandalą, nie było w możności dla braku środków—paru tysięcy rubli, uratować historycznej pamiątki.

Smutne.

Ale nawiasowo zrobimy uwagę, że ratować choćby i szczątki Broku, miał obowiązek i ktoś inny jeszcze.

— Kto?

— Zamożne i dzisiaj nasze duchowieństwo a respective Płocka Kapituła.

— Z racji?

A z takiej, że ów Brok to była głośna i ulubiona rezydencja letnia możnych biskupów płockich.

Wszakże to w jego murach, położonych tak pięknie, na wyniosłym brzegu porzecza, biskup Stan. Łubieński pisał swoje dzieła z zakresu historii, a w tej liczbie ciekawe „Rozruchy do mowy 1606 do 1608 r.” Tam to—w cichym i spokojnym ustroju, przypominając swoje niedawne peregrynacje; skreślił on i

„Drogę do Szwecji“, którą w charakterze regenta królewskiej kancelarii odbywał „ze swoim dostojnym panem“—Zygmunt III-cim.

W ślicznych komnatach, jednego ze skrzydeł zamkowych w Broku, szerokiej sławy jezuita, zdobny laurowym wieńcem papieża Urbana VIII-go, kaznodzieja Władysława IV-go, genialny niemal, poeta Sarbiewski, w kunsztownych odach, sławił malownicze piękno otaczającej go cichej przyrody i wdzięcznej ziemi.

Zresztą sam gród Brok to także dzieło rąk duchownych. Wszak go zakłada Erazm Ciołek biskup płocki, choć jednocześnie biegły dyplomata Zygmunta I-go. A skrzętny biograf notując tamto, pozwoił sobie na uwagę: „Spełniał wiele zleceń królewskich, nie zapomniał jednak o sobie“. Więc niby co królewskie to królowi—poselstwa, a co swego to sobie—Brok. A tego swego, choćby w owym Broku płockim było nie mało, gdyż w skład dominium, jako „oprawy“ letniej siedziby dostojników kapituły płockiej wchodziły ogromne ziemskie majątki. Oprawa co się zowie, bo jeszcze w 1830 r., więc po uszczupleniu składu donacji, lustracja oszacowała całość na milion, 444 tysiące, 280 złp. Zaś intrata z samych ziem i lasów Broku, oprócz stałych dochodów, wykazała wówczas rocznie 86,611 złp. i gr. 12. I nic dziwnego, skoro same biskupie lasy zajmowały przestrzeń 2,292 włók magdeburskich.

Więc, mimo woli, przychodzą na myśl krocie, a wślad miliony złotych polskich, które szeregiem stuleci przepłynęły z ekonomicznej kasy Brok do skarbca kapituły w Płocku. A wślad chodzą po głowie rulony dukatów, które z tegoż skarbca toczyły się nad Tyber.

O tym ostatnim szczególnie wspominamy także, bo okazjnie wiemy, że nasz tamten fundator Brok trzykrotnie odbywał podróże do Rzymu, gdzie zresztą, upodobawszy sobie „świat i ludzi“, na stałe zamieszkał. No i umarł tam, w Rzymie, na stałe. I nic słusniejszego, bo przecież to o dostojniku płockim—Erazmie Ciołku napisane: „Lubił przepych, zwykł się otaczać cudzoziemcami, od rodaków stronił“.

Spi więc zapewne spokojnie i dzisiaj, pod stylową kopułą *Santa Maria del Popolo* (ale popolo Italiano) założyciel malowniczych, ale tylko polską, nadbużną pięknością Brok, gdy one same, woła niebios, przeszły „na ręce skarbu“, zaś „ulubioną“ rezydencję biskupów płockich spotkał los opuszczonej, przydrożnej, polskiej karczmy. Chyliła się, chyliła, aż w końcu litościwa ręka ułożyła do snu—rozebrała zamek na cegły.

Ostatecznie, jak w swoim czasie trafnie potraktowała tę sprawę „Ziemia“: „O jedną starą rudę mniej, o jedną nową oborę ze starych cegieł więcej“. Oto i wszystko. Niema się o co zabijać.

Ale jednocześnie też „Ziemia“, piórem swojego Boruty, jeszcze trafniej spoliczkuje tę część polskiego społeczeństwa, która będąc obowiązana i będąc w możności ratować, nie ratuje od zagłady tego, co stulecia wznosiły, w czym się długie szeregi pokoleń kochały, co świadczyło o żywotności i kulturalności kraju, na tle czego odgrywał się wielki dramat, któremu na imię Dzieje Polski.

Prawda, dobrze zauważył tamten, po każdym takim rozebranym, zgładzonym z powierzchni kraju, starym kawale muru zostaje trochę żalu i wstydu, ale to przecież się nie liczy.

— No, a gdyby takie stare mury płakać umiały, gdyby się bronić mogły?..

— To sentymenta, a jako na takie nie odpowiadamy.

A zresztą, już w swoim czasie przerwał komu należy, dysputę o Broku ktoś „dumnie noszący historyczne nazwisko“: „Mamy, panie, co lepszego do roboty, jak podpierać stare rudery“.

Nic więc dziwnego, że owi „historyczni“ pozwolili rozwalić Brok, że własną ręką, patrzyliśmy na to—rozebrali wspaniałe zamkowe mury w Zawieprzycach; a o tym—jak świeżo pisała „Gazeta Warszawska“, że Bódzentyn w biały dzień rozkradają na chlewy, nie chcą słuchać. Wyjątki, no tak, wyjątki będą, ale właśnie one stwierdzają zasadę.

Zresztą, co się dziwi? Przecież, pod nosem kraj im rozbierali, bo ten wówczas był ich własnością — magnatów, a oni „cygara palili“.

Ale jak dzisiaj, to chwalić Boga, ten kraj, choć i poszarpany, stanowią nie oni—błękitno-krwiści, ale On—szary Naród polski, więc ta ogromna, zbita masa, w skład której, jak pokazały ostatnie czasy, wchodzi wszystko co wspólnie kocha i wspólnie cierpi.

Oto dlaczego Tow. ochrony Zabytków polskich, w swoim czasie, układając swój statut, ustanowiło — i nic trafniejszego nad to — od swoich członków roczną składkę jednego rubla. Rozumieli bowiem inicjatorzy szlachetnego przedsięwzięcia, że pamiątki historyczne kraju, to *res publica*, to dobro narodu, a więc nie kto inny, jak tenże naród, w całokształcie winien dokładać ręki, a poczęści serca, do zbożnego dzieła zachowania takowych, aby je znów i znów przekazywały pokolenia sobie. A złożyć rocznie rubla, złożyć do skarboxy narodowej, może dziś u nas i powinien dziś u nas każdy — i basta.

I w tym to miejscu naszych szczerych myśli, musimy, choć z bólem i wstydem, wypisać słowa zagłówek: *I czy to nie wstyd?* Tak. I czy to nie wstyd, że tamto, jedyne w kraju, Tow. opieki nad Zabytkami, pełniąc od 5 lat, wśród kupy trudności, najsumienniej swoje obowiązki, liczy „około tysiąca członków“, czyli jedną osobę na 10 tysięcy mieszkańców kraju, a zresztą jednego na tysiąc z samodzielnych, dorosłych „synów Ojczyzny“?

A jakim to trybem idą tam u nich, w Tow. opieki Zabytków, te rzeczy, o tym głośno nam mówił niedawno człowiek bliiski tych spraw.

„Sam, w skromnej działalności agitatora i inkasenta spotykałem niejednokrotnie ludzi, którzy wręcz zapisań się na członka Tow. z opłatą jednego rubla rocznie odmawiali. Często byli to ludzie zamożni, czasem bogaci. Jeden u nich rubel rocznie więcej wydany na tamto, mógł to dla nich być jeden krawat mniej w garderobie, jedna mniej przejażdżka na gumach

(nie mówię broń Boże o śniadaniu, bo oni wstydziliby się zjeść śniadanie za rubla), jedna błahostka, do której sami „nie przywiązują wagi”.

Wszak to słowa tak trzeźwe, że nie wymagają nawet akcentu z naszej strony. Zostawiamy więc je jak są.

Za to podejmujemy inną stronę tejże kwestji.

Przecież, niech co chcą mówią i piszą, a jak dzisiaj, to szeroki nasz ogół poczuwa się do wspólnoty narodowo-kulturalnej. Odczuwa on wspólny puls dziejowy i daje tego dowody. Wszak stare księgozbiory, pamiątkowe wydawnictwa, wielkie zdarzenia dziejowe, a choćby opowieści na tle wspólnej przeszłości kraju i t. d., wszystko to cieszy się uznaniem szerokich warstw. Jubileusze, czyli hołd zbiorowym ideałom obchodzimy solennie. Zresztą taka Warszawa, i w ciężkich czasach, rozumiejąc że nie samym żyjesz chlebem, czerpiąc środki, tak dobrze jak z całego kraju, wybudowała krociowy pałac dla sztuki narodowej, a Tow. Zachęty ma już imponujący budżet. Na sam gmach przyszłej galerji zabytków sztuki też Warszawa odkłada po kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie. Taki Płock ma już Muzeum. Idzie w te ślady Łódź. Myśli o tem Lublin. Prywatne zbiory „rosną”.

A teraz zapytamy. Dlaczegoż po macoszemu ogół nasz odnosi się jedynie do zabytków budowlanych, których zresztą pozostały w kraju już tylko marne resztki?? Zwłaszcza takich, z którymi łączą się historyczne wspomnienia, dokoła których unosi się duch historycznej przeszłości kraju, a często jego wielkości.

Skąd ta pogarda dla „zimnych“ murów? Wszak w ceglach ciosach, balach, tkwi wspomnienie wieków; tak dobrze leży na nich stygmat kultury czasu, jak na drukach, posągach, sarkofagach, pergaminach, płótnach, blachach?!

Wszak w budownictwie, a cóż dopiero w monumentalnym. zamczystym tkwi—jako żywo to twierdzimy—myśl, żyje uczucie przebija się wola człowieka-twórcy, a ten znów to tylko synte-

za myśli, uczuć i woli wielkiej gromady, której na imię Naród, a wyjątkowo nawet Ludzkość.

I rozumieją to narody, chcące w dziełach, w zabytkach przeszłości czerpać świeże siły na dzisiaj i jutro.

Spójrzmy na nawet tak dziś nie mające nic wspólnego z kulturą ducha Niemcy, jak to oni utrzymują swoje, byle jakie, „ruiny”, a coś dopiero pragniazda historyczne. Taki krzyżacki Malborg—ten z przed 550 lat, budzi u nas nienawistny zachwyt.

Ale my we wszystkim jednacy.

Przyszła wielka rocznica — Grunwald i potężny płomień wspomnień, więc umiłowania tradycji, wybuchnął wysoko, wysoko z naszych piersi. Wyrazem tego — kolosalny czyn Paderewskiego, artysty-obywatela, przed którym ugiął kraj kolano wdzięczności. I będą wieki wspominały tę chwilę — bajeczną inaugurację pomnika Jagiełły.

Ale cóż, skoro w tymże czasie, bo w wieku XX-ym, tenże szeroki polski ogół, kosztem składki jednego rubla od osoby rocznie, nie ocala kruszących się i tłuczonych obojętną ręką, cennych pamiątek dziejowych. Nie ocala, a Tow. opieki nad takowymi traktuje sobie jak żebraka, ruiny historyczne—jak przydrożne rudery.

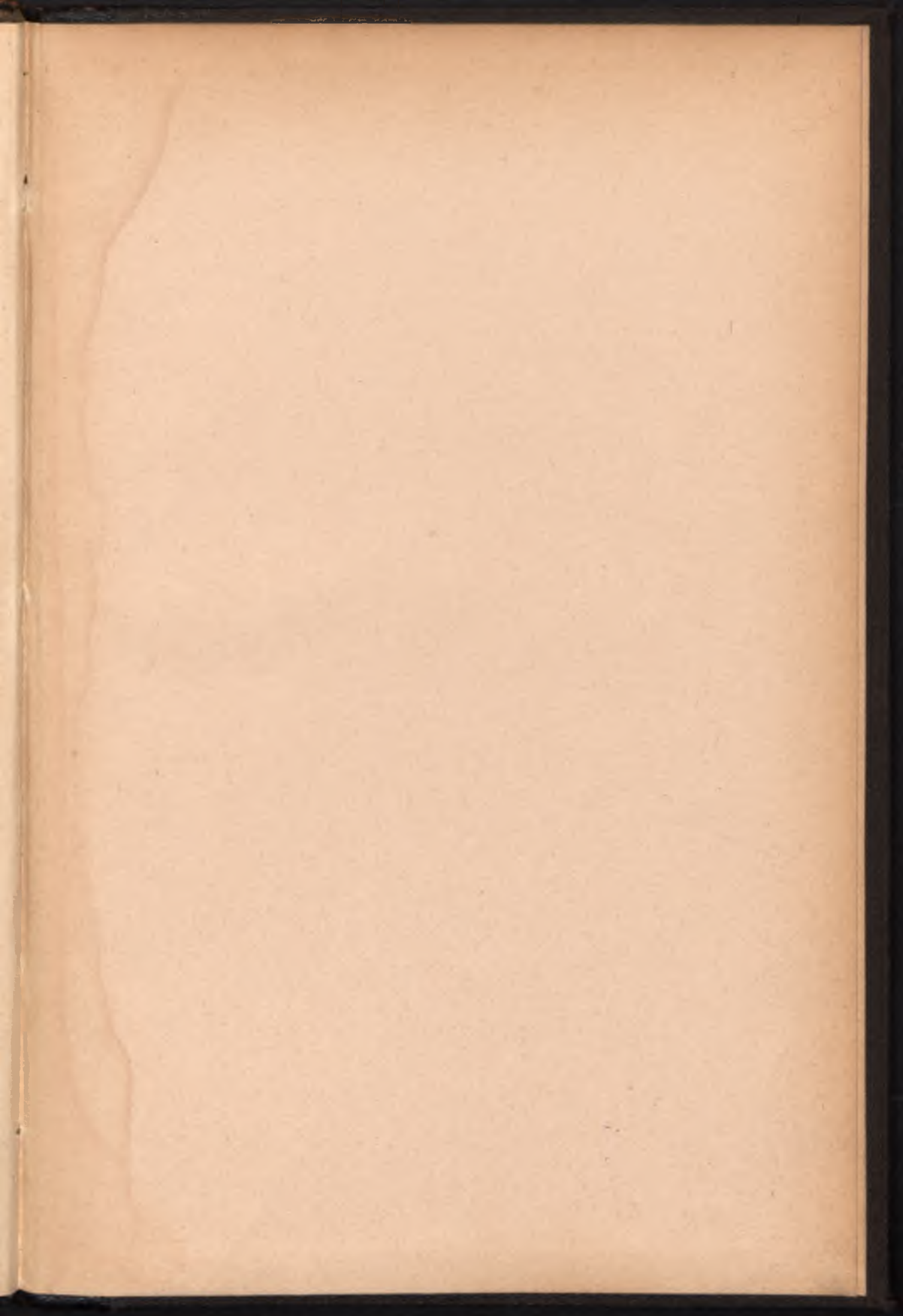
No tak; w teatrze, w książce, podczas żywych obrazów, polska publiczność będzie się rozczulała nad Halszką z Ostroga, zachwycała Janem z Tęczyna, będzie korespondowała na kartach z basztą Esterki. Będzie, ale ginące w jego—ogółu oczach oryginały scenarji tamtych dramatów, obchodzą go tyle co zeszłoroczny śnieg. Co najwyżej, podczas letniej wycieczki obejrzy „to”, a pod basztą w Kazimierzu prześpi się smacznie. Obejrzy i minie. Łście dantejskie „*Guarda et passa.*” Ale Vergiliusz tak radził obcemu gościowi wobec nieprzeliczonych ciekawości piekieł, wobec „krótkiego dnia”. Tu zaś mowa o nielicznych pamiątkach ukochanego. rodzinnego kraju. A pamiętajmy, że jak dzisiaj, to jesteśmy narodem bezdziejowym, więc w tym względzie przeszłość nam skarbem jedynym.

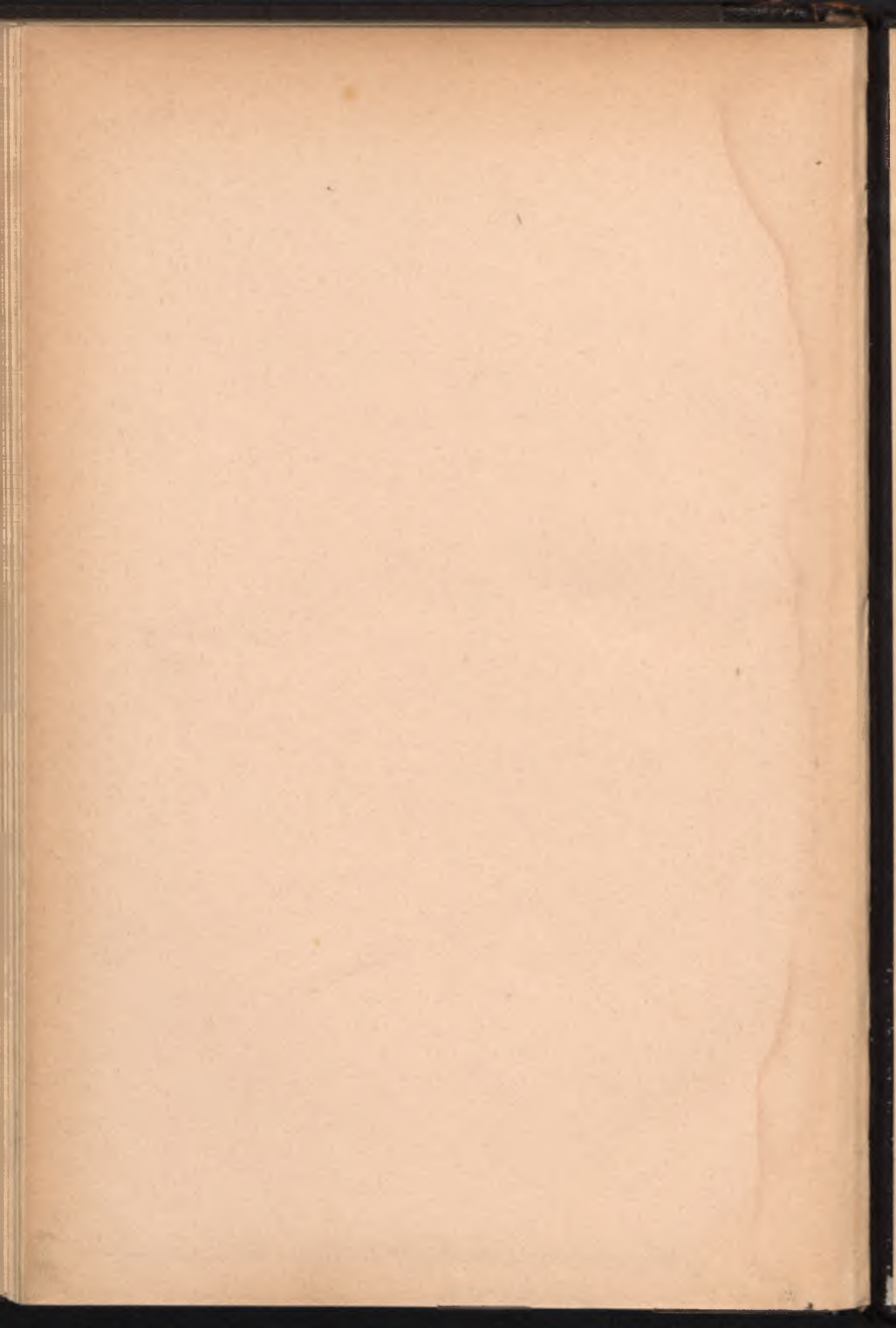
A osobiście nam to zdaje się, że kto wyrzeka się krajowych „ruder”, szczątków wielkości, to tak samo jakby wyrzekał się schylonych staruszków rodziców.

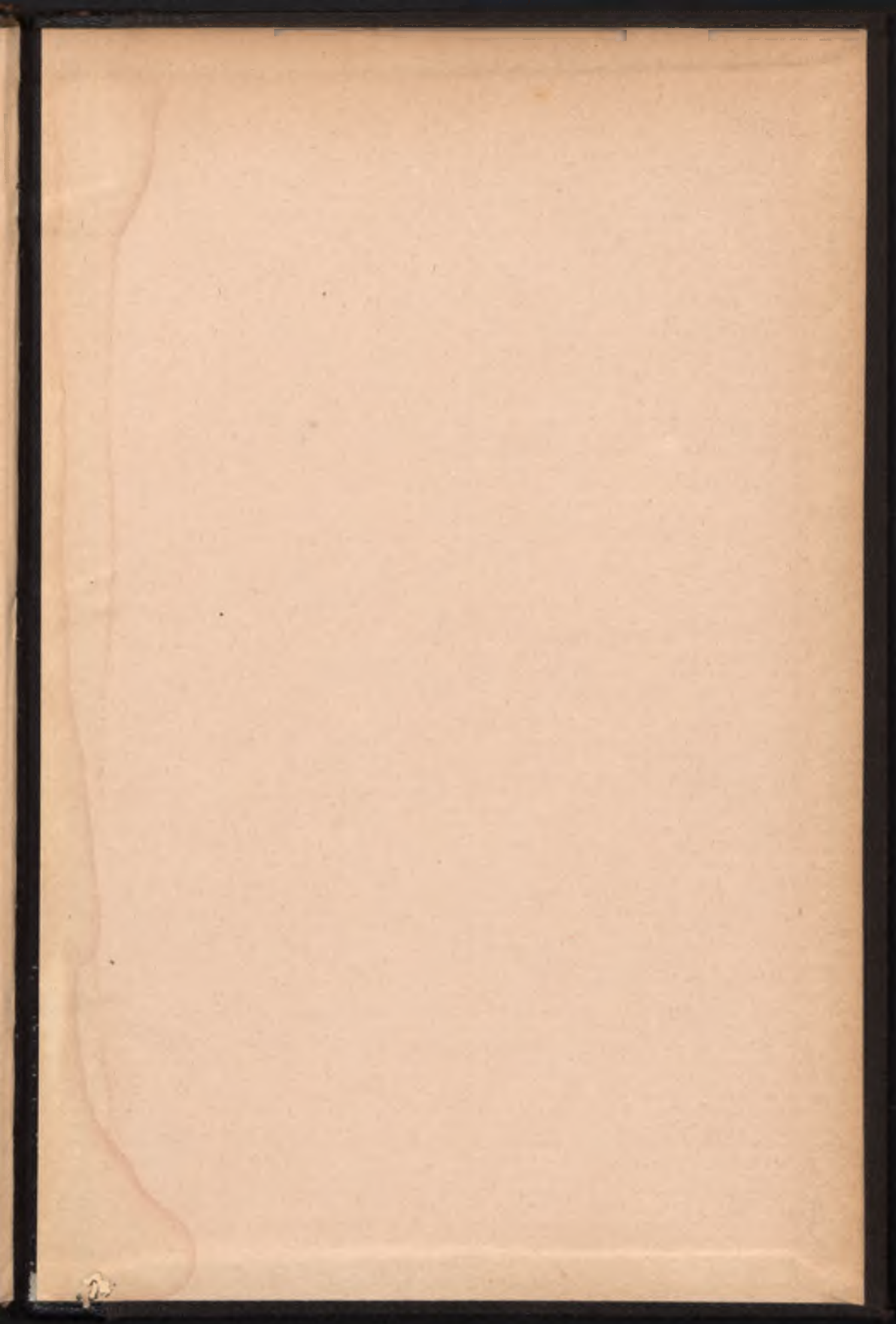
Eug. Sokołowski.

Świeprawki lubelskie.









Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

	1922	c
--	------	---

1911
